ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPÓŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. № 152-05.

№ 15

WARSZAWA
DNIA 13 KWIETNIA 1913 R.

FRYDERYK HEBBEL

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN.

Fryderyk Hebbel, najoryginalniejszy genjusz dramatyczny Niemiec, jest obok Goethego, Schillera i Wagnera jednym z naczelnych duchów nowoczesnej poezji niemieckiej. Wywarł on na współczesny dramat europejski ogromny wpływ i jako teoretyk i, przedewszystkiem, jako twórca. Koncepcje dramatyczne Hebbla, natchnione przez nowoczesne idee filozoficzne, wywołały reakcję przeciw wszechwładzy tragedji Szekspirowskiej, pod której wpływem pozostawał jeszcze Goethe i Schiller. Twórczość Hebbla stała się punktem wyjścia nietylko dla najwybitniejszych przedstawicieli nowego dramatu niemieckiego (Sudermann, Hauptmann i in.), ale także dla wielkiego Ibsena.



FRYDERYK HEBBEL,
ur. 1813 — † 1863.

Hebbel urodził się 18-go marca 1813 roku w Holsztynie, w nadmorskiem miasteczku Wesselburen. Pochodził z rodziny napół chłopskiej, napół proletarjackiej—ojciec jego był czeladnikiem murarskim. Lata młodzieńcze upłynęły mu w skrajnej nędzy, a studja jego ograniczyły się do ukończenia miejskiej szkoły. W 14 roku życia dostaje się do kancelarji burmistrza, jako posłaniec, poczem zostaje pisarzem gminnym. Posadę tę zajmuje do 22 roku życia, nie ustając ani na chwilę w samokształceniu. Wiersze, drukowane w pismach hamburskich, zwróciły nań uwagę sfer literackich i zjednały mu protektorów. Hebbel przenosi się do Hamburga. Po dwuch latach wyjeżdża na studja uniwersyteckie do Heidelberga i Monachjum, poczem w r. 1839 wraca znów do Hamburga.

Tu pisze pierwsze swe wielkie tragedje: „Judytę” i „Genowefę“, w r. 1843, otrzymawszy stypendjum od króla duńskiego, Chrystjana VIII, wyjeżdża do Paryża. Pobyt w Paryżu to okres bogatych doświadczeń, okres dojrzewania genjalnego ducha. Tu pisze swe arcydzieło, „Marję Magdalenę“. Za rozprawę o dramacie, dołączoną do wydania książkowego tej tragedji, zyskuje tytuł doktora filozofji. Z Paryża wyjeżdża do Włoch poczem na stałe osiada w Wiedniu. Tu poślubia artystkę teatru nadwornego, Krystynę Enghausen, która zasłynęła później w roli Judyty i innych bohaterek jego dramatów. W Wiedniu powstały wszystkie dalsze arcydzieła Hebbla. W wypadkach r. 1848 poeta

bierze żywy udział, zwalczając jednak absolutyzm i rządy Kamarylli, równie ostro występuje przeciw radykalnemu republikanizmowi. Umiera w r. 1863.

Oto w porządku szereg dzieł Hebbla: Judyta", „Genowefa", „Marja Magdalena", „Herod i Mariamna", „Julja", „Michał Anioł", „Agnieszka Bernauer", „Pierścień Gygesa", i trylogja „Nibelungi" (dramaty i tragedje)— prócz tego pokaźny tom liryk niezwykłej piękności i oryginalności, szereg nowel, dzienniki, rozprawy polityczne i nieocenionej, wartości myślowo — koncepcjonalne rozprawy o Arymanie, w których sformułował swój własny system tragiczności.

Dramat — według Hebbla — winien ukazywać stosunek świata i człowieka do Idei, t. j. wszystko, warunkującego centrum moralnego, które przyjąć się musi w organiźmie wszechświata. Naczelną więc zasadą twórczości Hebbla jest Heglowska Idea — absolut, przypuszczalna jedność różnorodnych i nieraz sprzecznych zjawisk bytu. Idea dąży od chaosu ku świadomości. Odwieczne rozpryskiwanie się Idei na zjawiska i wracanie do jedności — oto pantragiczny proces świata, pojęty w tragedjach Hebbla nietyle jako ewolucyjny, a raczej—pesymistycznie— jako tragicznie niwelujący. Ta wola moralna świata, to zdążanie od chaosu do ładu równa się najwyższej konieczności, stąd pojęcie moralności jest u Hebbla identyczne z pojęciem konieczności.

Z rozpryśnięcia się Idei na zjawiska wynika we wszystkich sferach bytu wiekuista sprzeczność, walka dwuch sił: odśrodkowej i dośrodkowej — tego, co poszczególne, przypadkowe, indywidualne z tem, co ogólne, wieczne — szczegółu z całością, jednostki ze społeczeństwem. Starcie się obu sprzecznych sił występuje w formie zamaskowanej—tragiczna niwelacja, t. j. powrót (według terminu Hebbla „redukcja") do Idei jest wynikiem konfliktu i wzajemnego zniszczenia się różnych sił odśrodkowych. Każda z tych sił ma ze swego stanowiska słuszność: tragedja Hebbla jest tragedją „równych uprawnień"— sztuka poety — dramatyka polega na tem, aby zżył się w stanowisko każdej siły (postaci dramatu) i ujawnił tajemniczą nić, wiążącą tę siłę z moralnem centrum świata, t. j. ujawnił jej konieczność. W każdej tragedji Hebbla wyczuwamy też ową tajemniczą, nieruchomą i niewidoczną Ideę—Ananke, w obliczu której następuje wzajemne zmiażdżenie się bohaterów.



Składanie wieńców u podnóża pomnika, podczas obchodu 100-ej rocznicy urodzin Fryderyka Hebbla w Wesselburen (Holsztyn) miejscu urodzenia poety.

Stulecie wielkiego twórcy — myśliciela obchodzi i Polskę. Na obecną generację literacką w Galicji Hebbel wywarł znaczny wpływ. Co więcej, we Lwowie powstało najlepsze, krytycznie opracowane wydanie zbiorowych dzieł Hebbla — niezmordowany wydawca i entuzjasta Hebbla, dr. Ryszard Marja Werner, wykładał długie lata w lwowskiej wszechnicy. Jego uczeń, Karol Jrzykowski, wydał pierwszą u nas książkę o Hebblu („Hebbel, jako poeta konieczności") i tłumaczył jego dramaty. „Judyta" i „Marja Magdalena" grane były na scenach krakowskiej i lwowskiej. W lwowskiem wydawnictwie „*Symposion*" ukazały się „Dzienniki" Hebbla.

Ale mamy jeszcze głębsze powody do jubileuszowej wzmianki o wielkim poecie. Hebbel pisał niejednokrotnie o Polsce. Za młodu, za czasów hamburskich, był Hebbel (podobnie, jak Wagner i wielu innych poetów niemieckich) entuzjastą Polski i jej walk za wolność. Z tych czasów datuje się pełen uwielbienia dla nieszczęśliwego narodu wiersz streszczający się w okrzyku „Niech żyją Polacy" i utożsamiający sprawę polską za sprawą całego świata cywilizowanego. Ten entu-

zjazm dla Polski z czasem, niestety, ostygł, w miarę, jak Hebbel w późniejszem życiu stawał się konserwatystą i skrajnym nacjonalistą. Jego późniejsze utwory o Polsce tchną już mniejszą życzliwością dla nas, a wreszcie kończą się nawet (w odzie do Wilhelma I.) zgrzytem wzgardliwej germańsko-szowinistycznej niechęci. Dodać jeszcze należy, że Hebbel przy końcu życia zabrał się do dramatu, opartego na momencie z dziejów polskich, p. t. „Dymitr Samozwaniec“— dzieło to jednak, podobnie jak „Demetrius“ Schillera, pozostało niedokończone.

Mimo wspomnianego zgrzytu, czcimy w Hebblu wielkiego twórcę, którego spuścizna jest niewyczerpaną skarbnicą piękna i głębokiej myśli.

Józef Jedlicz.

FRYDERYK HEBBEL.

DZIECKO.

Umarła matka w trumnie leżała,
Nakryta śnieżnym welonem,
Wtem staje przy niej dziecina mała
I patrzy okiem zdumionem.

Wian kwiecia, w jasne włosy wpleciony,
Bardzo się dziecku podoba,
A jeszcze bardziej bukiet czerwony,
Umarłych piersi ozdoba.

Słodko do zmarłej wdzięczy się dziecię
I prosi w czułym zachwycie:
— „Mamusiu, daj mi to cudne kwiecie,
Ja ciebie kocham nad życie!“

A kiedy matka leży bez ruchu,
Głucha na jego błaganie:
— „Mama śpi — dzieciak pomyśli w duchu —
Lecz da mi pewnie, jak wstanie...“

Idzie, cichutko stąpa nóżkami,
Drzwi przymknie dziecina mała —
Potem co chwila słucha pod drzwiami,
Czy mama jeszcze nie wstała...

Przełożył ***Józef Jedlicz.***

O wykształceniu.

Lord Avebury, głęboki myśliciel angielski, w dziele poświęconem kwestji dobra ludzkości, jeden z rozdziałów cennej swojej książki poświęca sprawie wykształcenia. Wobec żywotności tego problematu, nie od rzeczy może będzie poznać sposób zapatrywania się tego autora.

Podaję więc poniżej spostrzeżenia uczonego sądząc, że z korzyścią będzie, jeżeli nad poglądami jego zastanowi się ogół czytelników. Zaczynając od tego, że wiele drobnych błędów, a nawet i wielkie grzechy żywota są wynikiem nudy w następujący sposób motywuje swoje wywody:

Edukcja winna tak być prowadzoną, ażeby nudę najzupełniej wytępić, a egzystencję uczynić zajmującą i szczęśliwą.

Któż może twierdzić, że nasz system szkolny jest prowadzony w ten sposób?

Specjalizujemy się niemal, że od kolebki. Rezultatem też naszego ustroju wychowawczego bywa najczęściej zanik ciekawości *w sprawach* umysłowych, które identyfikujemy z nudnymi nad wyraz wykładami, co gorsze ich wynikiem jest absolutna ignorancja rzeczy codziennych.

Każdy z nas niemal, spotykał już w życiu własnem takie indywidua które osiągnąwszy stopień uniwersytecki nie rozumieją czemu księżyc zmienia pozornie swoje kształty, korale zaliczają do owadów, wieloryba do ryb, a nietoperza do ptaków, nie mają wyobrażenia o przemianie lądów i są święcie przekonani, że świat nie istnieje dłużej nad lat 6,000.

Dwie kardynalne wady posiada nasz obecny system edukacyjny: po pierwsze jest zbyt ograniczony, po wtóre nie jest dostatecznie zajmujący. Nie możemy wszyscy zajmować się gramatyką, a nawet matematyką.

Ci co naprzykład upodobali sobie nauki przyrodzone mało mają pola w szkołach dla dogodzenia swym porywom, a osoby obdarzone gustem literackim są tak przesycone monotonnością klasycyzmu, tak że tylko szczupła garstka oddaje się dalszym studjom po opuszczeniu ławy szkolnej.

Tak więc nasz system edukacyjny zbyt często niweczy nasze dążenia, obrzydzając owe przedmioty, które pragnął faworyzować. Dzieci bywają obdarzone boskim duchem ciekawości. Zapytaniom ich nie podoła najuczeńszy z ludzi. Pragną one zgłębić „dlaczego“ i „dlatego“ każdej niemal wszechrzeczy. Umysł ich jest jasny, niezamącony i łaknący wiedzy. Posyłamy je do szkół i jaki jest tego rezultat? Mózgi mają znużone, a napięcie zainteresowania pierzchło. Może skorzystały wiele, lecz najczęściej zatraciły to, co jest najważniejsze — pożądanie nauki. Kształcąc młodzież - błędem jest traktować astronomję fizykę, geologję i biologję jako gałęzie odrębne.

Przyroda stanowi jeden przedmiot, a podstawowe wiadomości winny być omówione szeroko. Obowiązkiem naszym, powiada lord Brou-

gham uczyć dzieci czegoś ze wszystkiego, a potem o ile możności wszystko z czegoś. Specjalizacja nie powinna nastąpić przed siedemnastu, a w żadnym razie przed szesnastu laty. Podług mnie absolutnie błędne jest twierdzenie, że trzeba znać rzeczy dokładnie. Po pierwsze nikt z nas nie zgłębił je dostatecznie, po wtóre skupianie uwagi dzieci na dwuch lub trzech przedmiotach równa się ścieśnianiu ich myśli, krępowaniu umysłu, niszczeniu ciekawości i najczęściej zohydzeniu tego wszystkiego, co pragnęlibyśmy aby otoczyli miłością.

Czyby to był wykład geografji, gdybyśmy zaznajamiali młodzież w najdrobniejszych szczegółach o Europie, a tendencyjnie pomijali Azję, Amerykę, Afrykę i Australję, lub wykład historji, gdybyśmy faworyzując jedno stulecie— zamilczeli o innych? Widzimy więc zatem, że wynoszenie jednej gałęzi wiedzy, a ignorowanie drugiej nie zgadza się z pojęciem o nauce.

Każdy przyzna, że nie przynosi zaszczytu społeczeństwu człowiek, choćby był znanym ichtjologiem, botanikiem, matematykiem lub choćby uczniem szkół klasycznych, jeżeli nie ma podstawowych wiadomości o ustroju świata. Zanim się dziecko wyłącznie zajmie jakąkolwiekbądź wiedzą specjalną, należy mu wytłumaczyć, że nasza ziemia jest jedną z różnorodnych planet otaczających słońce, że słońce to gwiazda, system słoneczny jednym z wielu miljonów zalegających nieskończone przestwory przestrzeni, winniśmy je obznajmić z ogólnym podziałem lądu i wody, kontynentów i oceanów, dokładnie zapoznać z położeniem własnego kraju i miejscem zamieszkania. Nie powinny mu być obce elementarne zasady fizyki i chemji, nie wyłączając konstrukcji i zastosowania barometrów i termometrów, geologja i bijologja w zarysie. W parze z tem niechaj idzie arytmetyka, podstawowe prawidła gramatyczne oraz rysunki, będące prawie, że równoznaczne z nauką pisania i muzyki. Gdy młodzież w ten sposób zapozna się z ogólnem pojęciem świata nas otaczającego – nadejdzie chwila skupienia jej uwagi nad wybranymi przedmiotami.

Edukacja powinna opierać się nie na klasycyzmie, a na naukach ścisłych i matematyce. Co więcej klasycy zbyt często służą nie jako wzory literackie a jako tło ćwiczeń gramatycznych. Bezwątpienia i w tym razie korzyść jest niezaprzeczona, lecz jakież wadliwe zastosowanie! Dzieła natchnienia, obrócone na potrzebę codziennego użytku! Podanie niesie, że Aleksander Wielki miał kopję Iliady pod poduszką, całe zaś nasze generacje śpią również nad Homerem.

Nauka rysunków, jak już wspomniałem, zbytnio zaniedbana bywa w szkołach. Jest ona równoważna z pisaniem, a pod niektórymi względami jeszcze je przewyższa. Umiejętność rysunków jest szkołą widzenia, kształci, jak posługiwać się wzrokiem. Każdy władający ołówkiem może powtórzyć za Goethem: Widzę okiem, które dotyka i dotykam okiem, które widzi. Huxley cytuje fakt, iż będąc przełożonym oddziału, gdzie rysowano zdjęcia mikroskopowe, dla ułatwienia przedmiotu nakreślił w zarysie szkic na tablicy. Przeglądając pierwsze z podanych ujęć, spostrzegł że ważny choć nie wydatny szczegół został pominięty. Zapytał więc studenta, czy go nie dostrzegł. — I owszem, odparł zagadnięty, lecz nie ma go w pańskim rysunku. —

Większość, tak zwanych trudności rysunkowych wypływa z niedbałego sposobu z jakim przypatrujemy się rzeczom — a raczej je przeoczamy. Wielu zastanawia dokładność i biegłość naszych paleolotycznych przodków, którzy zaostrzonym krzemieniem oddawali wizerunki mamutów, reniferów i innych zwierząt na płaskich kościach i na ścianach sklepień jaskini. Przyczyną tego było, że istotnie wiedzieli, jak wyglądają zwierzęta. My w porównaniu słabe tylko o tem mamy pojęcie. Niech ktokolwiek z was spróbuje z pamięci naszkicować zwierzę, dom lub górę, a z pewnością zdziwi się niepomiernie, konstatując jak szczupłe są jego zasoby wiedzy pod tym względem, choć przypatrywał się im wielokrotnie. Widzenie jest jedną z podstaw sztuki, a prawdziwy artysta wzrokiem swym obejmuje więcej, aniżeli się to coś rzuca w oczy innym.

Pod niektórymi też względami, a zwłaszcza pod względem ciekawości, tak zwana edukacja raczej zdusiła, aniżeli rozdmuchała nasze przyrodzone uzdolnienia i uciszyła żądze dociekań. Szkoła bywa nieraz grobem polotu.

Szlachetny, niewątpliwie, jest zawód nauczyciela; wiadomości jakie posiada, powinny bezwarunkowo przewyższać wiadomości ucznia, atoli jakkolwiek mądry jest ten co czerpie z krynicy wiedzy, niepowołany w roli mentora błądzi bezprzykładnie. Nauczajcie więc tylko to o czem sami dokładne macie pojęcie.

Jeden ze znakomitych profesorów rzekł, że jeżeli uczniowie jego nie będą się kochać wzajemnie, ucieknie się do chłosty. Lecz nauki moralne chociaż właściwe, dawane w sposów ostry i surowy przechodzą bez wrażenia, podczas gdy ujmujące słowo, wzniosła myśl, nawet łagodne spojrzenie może ujarzmić i przekształcić najoporniejszy nawet charakter.

Winniśmy wszyscy baczyć na zdanie Fenelona „Notre corps est semblable aux bêtes, et notre âme est semblable aux anges. Il faut bien choisir les images qu'on y doit graver car on ne doit verser dans un réservoir si petit et si précieux que des choses exquises".

Najważniejszem więc naszem zadaniem jest jak widzimy wpajanie szczytnych ideałów w umysły młode. Niewątpliwie też dostojne jest przeświadczenie, że w naszej sile leży możność przedłużenia granic ludzkiej wiedzy. Jak wiadomo kształcić się zaczynamy niemal od kolebki, a uczyć winniśmy się do śmierci. W żadnym razie wykształcenie nasze nie powinno się kończyć w szkole, ani w uniwersytecie. Nie osiągnęło ono celu, jeżeli nie podniosło charakteru naszego nie uszlachetniło nas, a życiu nie nadało godności, ażebyśmy mogli podziwiać cuda i piękno tego świata, który jest miejscem naszej pielgrzymki doczesnej.

A. Z.

Ku prawdzie.*)

Na miejscu, gdzie rozegrał się straszny dramat w przyrodzie, odbywa się walka w duszy młodej dziewczyny. Wśród otaczającego ją zepsucia zachowała czystość niepokalaną uczuć, kwiat wyrosły na bagnisku warzy się w zetknięciu z rzeczywistością. Wychowana po śmierci matki przez starą piastunkę w zasadach Stoików, karmi się pismami Cycerona, a dusza jej przez czyste zasady szlachetnych myślicieli świata pogańskiego wyczuwa, dąży ku prawdzie — takiej, którąby nie kłóciła się jak tamte z realnem życiem i miała w sobie siłę do odrodzenia ludzkości. Tę prawdę odnajduje w ubogiej, prostej rodzinie rzemieślniczej, wyznającej zasady chrześcijańskie. Na gruzach Pompei przez odrodzenie w Chrystusie wali się w gruzy świat pogański, miłość i cześć dla ojca, miłość dla narzeczonego. Ojciec okazuje się krzywdzicielem jej nowych przyjaciół, wyzyskiwaczem bezlitośnym dla złota, a narzeczony uosobieniem egoizmu pogańskiego. Otwierają się jej oczy na całą zgniliznę moralną otoczenia i społeczeństwa, nie może kochać ludzi, oddaje swoje serce Bogu i ginie od zetknięcia się dwuch prawd: starej i nowej. Powieść jest dobrze pomyślana i zbudowana. Świat pogański i chrześcijański dość plastycznie odtworzony, a kontrasty naturalne uwypuklone należycie. Dobrze narysowana postać młodej bohaterki, ślicznej, sympatycznej Very, szczere współczucie budzi uboga rodzina chrześcijańska, śliczna postać starej dogorywającej chrześcijanki-niewolnicy, konsekwentnie odtworzony młody poganin, zato ojcowie młodej pary trochę deklamują. Autorka swobodnie kreśli pomniejsze sytuacje, w liczniejszem jednak gronie swoich bohaterów nie czuje się dobrze.

Wogóle, na tle przez siebie obranem i w większej koncepcji powieściowej nie jest dość swobodna, a pewnym niewłaściwościom stylu towarzyszy nadomiar dziwnie dzisiejszy język, oddający może i dobrze pewne pojęcia społeczne starożytności, podobne do naszych, ale przez pewne wyrażenia ścierający wszelkie złudzenie koniecznej w tych razach patyny.

Jest to tem dziwniejsze, że autorka w swoich drobnych nowelkach i opowiadaniach. („Z niedawnych dziejów“, „Śmiertelna kołysanka“, „Dziwy w jarze“, „Prorok“, „Spowiedź Maryni“, „Nad Wilją błękitną“) dała tak rzewne, proste, naturalne, a swobodne kartki z naszych krwawych, opłakanych dziejów.

Książkę p. Domańskiej należałoby gorąco polecić młodzieży do czytania, jako lekturę wzniosłą i budującą.

Ks. Szkopowski.

*) Powieść M. Domańskiej z pierwszych czasów chrześcijaństwa, bogato ilustrowana. Rzecz dzieje się w Pompei. Warszawa, r. 1913. Nakładem „Przeglądu Katolickiego“. Skład główny: Gebethner i Wolff.

Z TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH. — PIOTR MICHAŁOWSKI.

Wystawiona w dziale retrospektywnym wystaw Zachęty większa kolekcja prac Piotra Michałowskiego, nie daje jeszcze dokładnego pojęcia o tym genjalnym malarzu, który swego czasu wzbudzić potrafił dla siebie podziw tak wśród swoich, jak przedewszystkiem u obcych, a w dziejach sztuki polskiej zaiste, pochlebną zaskarbił sobie kartę. Brak na tej wystawie rzeczy najwybitniejszych, któreby godnie zaświadczyć mogły o doskonałości i pełni jego talentu. A jednak już nawet z tej skromnej stosunkowo kolekcji rozpoznać możemy istotną treść twórczości Michałowskiego: jego malarstwo koni.

Urodził się Piotr Michałowski w Krakowie, 2-go lipca 1802 r. Już od pierwszej młodości zdradzał niezwykłe uzdolnienie w wielu kierunkach. Jako słuchacz uniwersytetu krakowskiego, poświęca wszystkie wolne chwile od nauk ścisłych, którym oddawał się gorliwie, na studjowanie malarstwa, naprzód w pracowni Stachowicza, potem pod Brodowskim i Franciszkiem Lampim. Po trzech latach wytężonej pracy w krakowskiej *Alma mater*, udaje się na żądanie ojca do Getyngi, celem uzupełnienia przygotowania do służby publicznej w kraju. Z Getyngi częste robi wycieczki do Hanoweru, specjalnie w tym celu ażeby przypatrzyć się na rewjach kawalerji hanowerskiej, po ułanach polskich wówczas uchodzącej za najlepszą w świecie. To zamiłowanie do koni wyniósł on już z domu, mocą tradycji, i oczywiście z pobytu



Piotr Michałowski. (Tow. Z. S. P.) **Prześcigujące się dyliżanse.**



Piotr Michałowski. (Tow. Z. S. P.) Ułan.



Piotr Michałowski. (Tow. Z. S. P.) Utarczka kawalerzystów.

na wsi w rodzinnym majątku ojca jego Krzysztoporzyce pod Krakowem, gdzie się wychował i spędzał wakacje.

Za powrotem do kraju (1826 r.) wstąpił do służby administracyjnej Królestwa Polskiego. W czasie powstania listopadowego Rada Narodowa zamianowała go generalnym dyrektorem fabryk dostarczających broni, przyczem nietylko, że świetnie spełnił swoje zadanie, lecz ponadto zorganizował jeszcze oddziały ochotnicze z robotników fabryki. — Malarstwo dotąd uprawiał raczej tylko z amatorstwa. Rzeczywistym malarzem, tworzącym dla sztuki i żyjącym ze sztuki, stał się dopiero, gdy po upadku powstania wraz z całą prawie emigracją znalazł się na paryskim bruku. Tutaj też Michałowski znalazł obszerne pole do studjów, a gdy pracownia już mu nie wystarczała, chodził do stajen a nawet do rzeźni studjować anatomję konia, skurcze mięśni w ruchu i tego ruchu najtrudniejsze zagadnienia techniczne.

W początkach swego pobytu w Paryżu wymalował też kilka scen wojskowych z powstania, które odrazu zjednały mu wziętość i sławę. Dalej odtwarza miejscowe targi końskie, ciężkie normandzkie konie, ładowne wozy, zaprzęgi i pojazdy, bryki i dyliżanse pocztowe, których fizjonomja we Francji była podówczas tak rozmaitą. Maluje zaś przeważnie akwarelą, którą koloruje poprzednio rzucony ołówkowy rysunek, a czyni to z temperamentem, w zdecydowanych rzutach wielkich barwnych plam. Ten jego rozmach, ta oryginalność techniki i koncepcji, zapewnia mu wśród francuzów coraz świetniejsze powodzenie, staje się modnym w Paryżu i nietylko w Paryżu: obrazy jego rozchodzą się także po Anglji, reprodukowane w licznych litografjach.

Po śmierci ojca objął rodzinne majątki i osiadł na wsi, nie zaniedbując wszakże malarstwa. Umarł w 1855 roku, w czasie wojny krymskiej, na chorobę sercową.

Znaczenie Piotra Michałowskiego w dziejach malarstwa polskiego powszechnie jeszcze za mało jest doceniane. Jak cała ta epoka, od pierwszych zaraz lat 19 wieku począwszy, w swoich rozwojowych, naprzód kroczących reprezentantach — malarzach ze szkoły Norblina, jak: Orłowski, Płoński, Sokołowski, jest także i Michałowski w pierwszym rzędzie rysownikiem, jakkolwiek ogromnie dużo prac barwnych pozostawił. Pracował on samorzutnie, impulsywnie, dawał szkic jako dzieło skończone, impresję — nie w znaczeniu wrażenia, jak dzisiaj, ale metody jak u Velasqueza. Technika ta jednak nadzwyczaj jest trudna i obok wielkiego artyzmu wymaga dokładnej znajomości przedstawionej formy. I w tem właśnie Michałowski o wiele dalej poszedł niż Orłowski i Sokołowski, obserwacja jest u niego o wiele gruntowniejszą i ściślejszą.

Wpływ zaś jego na tem głównie polega, że przyzwyczaiwszy oczy ludzkie do form zewnętrznych o wielkiej prawdzie i życiu, uczynił nieznajomość i nieudolność form raz na zawsze niemożliwą. Z tem musieli się już liczyć następujący tuż za nim najznakomitsi bataliści.

Wystawiona obecnie w Zachęcie kolekcja prac Michałowskiego, szczególnie tem jest dla nas bardzo ciekawa, że zawierając tak dużo rysunków i studjów przygotowawczych do większych kompozycji, daje nam poznać drogę rozwojową i sumienność pracy, dzięki której utalentowany artysta do tak świetnych doszedł rezultatów.

Feliks Lubierzyński.

TEATR.

Teatr Polski. — „Miesiąc miodowy“. Komedja w 3 aktach Arnolda Benneta. Reżyserował dyr. A. Szyfman.

Wystawiona w środę w Teatrze Polskim trzyaktowa komedja angielskiego autora, Arnolda Benneta „Miodowy miesiąc“, posiada niewątpliwe wartości literackie. Elegancki, chwilami nie naraz nawet bardzo subtelny dowcip, zręczny, pięknie zaokrąglający się djalog i niejedno głębsze postrzeżenie psychologiczne, mogą zadowolić nawet najwybredniejsze wymagania... czytelnika.

Dla widza jednak, zwłaszcza dla widza naszego, sztuka angielska posiada pewne właściwości osobliwe w teatrze, wyznać szczerze potrzeba—mniej pożądane. Są to mianowicie zbytnie dłużyzny, wynikające z tego powodu, że autor swoje, zresztą bardzo wesołe myśli literackie, wypowiedzieć chce do ostatka, nie używając koniecznych w tych razach skrótów scenicznych. Ostateczny efekt tego jest mniej wesoły, niżby z założenia utworu oczekiwać można było, gdyż, zanim na scenie rozbłyśnie rakieta humoru, już widownię znużyły nazbyt długie do niej przygotowania.

A szkoda, bo rzecz sama w pomyśle jest dowcipna i bynajmniej nie płytka, co czytelnicy „Złotego Rogu“, z załączonego przekładu ocenić będą mogli.

Sztukę starannie wyreżyserowaną, a zwłaszcza efektownie, z wielkim przepychem dekoracyjnym wystawioną, artyści Teatru Polskiego grali doskonale. W „Miodowym miesiącu“ wystąpiła poraz pierwszy najwybitniejsza siła tego teatru, p. Marja Przybyłko-Potocka i wystąpiła z wielkiem powodzeniem. Były kwiaty i brawa.

Wyborna jest zawsze w rolach charakterystycznych, pani Słubicka, która tu znalazła dla siebie rolę odpowiednią. Z mężczyzn wystąpili p.p. Grabowski, Junosza, Leszczyński, Zelwerowicz, Lenczewski, Jarniński i Dyliżbański.

Tad. Jar.



Janina Korolewicz-Waydowa, prymadonna opery.
(Gościnne występy w Operze warszawskiej).

Korolewicz-Waydowa u nas.

Zawitała do nas po czteroletniej artystycznej wędrówce za granicą i za oceanem znakomita nasza prymadonna, Janina Korolewicz-Waydowa. Zebrawszy zasłużone laury wszędzie gdzie głos jej srebrzysty rozbrzmiewał, ukazała się znów na horyzoncie ojczystym, jako piękniejsza jeszcze i promienniejsza gwiazda.

Występ artystki w „Aidzie“ dowiódł, że oprócz wszystkich niepospolitych zalet, zyskał jeszcze na głębi ton jej cudnego głosu, przez potężniejsze jeszcze uczucie — wynik rzadkiej inteligencji artystycznej. Słodycz i czystość niepokalana dzwonkowego soprану prymadony nie tylko zachwyca, lecz bodaj upaja słuchacza, zaklinając w serca szczerą, prawdziwą wdzięczność dla artystki, która w hojności swej pozwoliła nam przeżyć tyle chwil podniosłych.

Doprawdy, musimy przyznać, że za oceanem ludzie mają wysoko rozwinięty zmysł artystyczny, którego nawet nie zdolen jest pochłonąć Moloch pracy przyziemnej, czego dowodem już nieraz było to bezprzykładne a zawsze usprawiedliwione uznanie dla wielkich artystów, którzy tam zapragnęli również zapalić gwiazdę swego talentu.

Pozostałe główniejsze role znakomicie wykonali: p.p. Dygas, Lachowska, Palewicz, Wierzbicki i Mossoczy. Orkiestrę świetnie prowadził p. Cimini. *w. z.*

Szecherezada.

Gorąca pieśń rozkoszy i zmysłów słodkie omdlenie, namiętność płomienna, niby róż ponsowych oszałamiająca woń, i piekło zazdrości, co duszę w ogniu zemsty spopiela— oto tło, na którem rozsnuła się stubarwna i jak miękki tiul powiewna treść utworu Rimskiego—Korsakowa, olśniewającego bogactwem i pomysłowością ujęcia w ramy sceniczne baletu. Taniec — owa mistyczna mowa póz i gestów, gibkości ramion drżących w ekstatycznem wzniesieniu — mowa uśmiechów i oczu przymrużonych, cicha w lekkiem pochyleniu torsu, rozpustna w bioder przegięciu, — cały ten pląs przedziwnie zobrazowany — płynie na falach muzyki, nierozdzielnie z nim zespolonej. Uprzytomnienie całokształtu widowiska, jakiem jest „Szecherezada“ stanowi wizję stóp pląsających we mgle tonów—jakiś fantastyczny sen, który tyle powiedział, choć nikt nie wymówił w nim ani słowa. *j. a.*



Teatr Wielki. Grupa z baletu „Szecherezada“.

W niniejszym numerze rozpoczęliśmy druk „Miodowego miesiąca“, niezwykle ciekawej sztuki Benneta, która, nie wątpimy, zainteresuje naszych Czytelników.

Ze świata

(Cenny amulet. — Przywileje złotego klucza.— Śmierć „króla stalowego".—Niebezpieczny zbieracz.—Wilson, nowy gabinet i losy emigracji.—Pod złą gwiazdą. — Nowy wielki augur Paryża. — Zeppelin we Francji. — Nieprzyjemne sytuacje.—Wystrzały.)

Miljardy, to cenny choć nie tak bardzo znów szlachetny amulet, żeby miał prawdziwe szczęście człowiekowi zapewnić. Nawet spekulant, posiadający bogactwo, pozornie tylko jest szczęśliwy. Zdaje mu się że



Pierpont Morgan,
zmarły w tych dniach arcymiljarder amerykański.

posiadł szczęście... klejnot jednakże prawdziwego szczęścia leży w stosunku duszy ludzkiej do głębszych zadań życia i istnienia.

Bogactwo jakże nieraz „mile" schlebia próżności, gdyż złoty klucz mocen jest otwierać wrota najnieprzystępniejszych „twierdz", do których dostęp dla nie wybrańców fortuny szczelnie jest izolowany. Ileż razy mamy tego dowody — ileż razy *najpłytsza* natura po ścieżce złotej *najgłębiej* dociera do najniedostępniejszych...*sezamów*.

Jeżeli jeszcze los skieruje w względnie dobre ręce złoty potok, wówczas społeczeństwo nie odczuwa tak bardzo krzywdy, którą sprawia mu kapryśna pani Fortuna. Weźmy choćby szereg miljarderów-filantropow z Carnegiem na czele, którzy wielkie, w naszych stosunkach niepojęte wprost sumy, przeznaczają na cele dobroczynne i kulturalne. Być może nawet, że te miljardy, zjednoczone dziś np. w ręku takiego miljardera - filantropa, rozdrobnione na szereg pomniejszych fortun nie przechodziłyby jednakże w tej mierze i w tym stopniu na rzecz użyteczności społeczeństwa.

Ale wyobrazić sobie proszę jak straszna krzywda dzieje się gdy miljardy wpadają w ręce drapieżnika! wtedy tylko jedna nadzieja pozostaje — że może szlachetniejsi sukcesorowie nagrodzą straty wynikłe stąd dla ogółu.

W tych dniach zmarł właśnie jeden z arcymiljarderów, głośny Pierpont Morgan, król trustu stalowego. Nie był on coprawda tak hojny jak Carnegie, niemniej jednak, będąc wielkim miłośnikiem dzieł sztuki, dużo dobrego robił w tym kierunku, popierając odnośne instytucje i artystów oraz skupując obrazy najcenniejsze, szczególniej mistrzów starej szkoły. Zbiory Morgana przedstawiają kolosalną wartość kilkudziesięciu miljonów, a raczej—bezcenną wprost wartość! Skupowanie obrazów przez Morgana, dla innych narodów miało wielce ujemną stronę, ubożył bowiem ten bogacz każdy niemal kraj, który nawiedził, z dzieł sztuki, jawnie lub nawet potajemnie kupując tam, gdzie nie wolno cudzoziemcom nabywać i wywozić obrazów.

Dla Stanów Zjednoczonych jednak nie można powiedzieć, żeby nie były z korzyścią te nabytki. Amerykę, kraj bądź co bądź kulturalnie nowy, wzbogacają przecież tak królewskie zbiory, i czy są one jeszcze w rękach prywatnych, czy też przejdą z czasem na rzecz narodu, niemniej jednak, że znajdują się już w Ameryce—są jej bogactwem i piękną, cenną perłą.

Tak, Morgan dla nas był niebezpiecznym, dla Ameryki jednak był to mąż potrzebny i może więcej dobrego zrobił dla niej, nabywając dzieła sztuki, niż gdyby nawet te pieniądze przeznaczył na inne społeczne cele, tembardziej że jego koledzy-miljarderzy dużo już w kierunku filantropji czynią.

Ameryka nie jest i dla nas obcą, kilka miljonów polaków przecież przygarnęła, gdzie zażywają oni swobód i dobrodziejstw, które gdzieindziej są udziałem uprzywiljowanych obywateli państwa. *Wolność i równość* to piękna aureola tego kraju fabryk, ferm, kopalń, no... i miljardów.

Chociaż głoszą dziś, że nowy prezydent Stanów — Wilson nie ma być przychylnym emigracji, niemniej jednak kategorycznie stosunek dotychczasowy



Ameryka przygarniająca tylu naszych wychodźców nie jest nam obojętną. Oto kierownicy rządu Stanów Zjednoczonych — **nowy gabinet ministerjalny z prezydentem Wilsonem (×) na czele.**



Katastrofa żywiołowa w Ameryce północnej. Zburzone miasteczko. Pod stosami belek i gruzów—pozabijani ludzie.

się nie zmieni, conajwyżej mogą być ściślejsze obostrzenia co do emigrantów-analfabetów i emigrantów w stanie zupełnego ubóstwa. Te dwie kategorje, bezstronnie przyznać należy, nie są pożądane na terytorjum obcego państwa.

Jak prezydent Wilson, który dopiero niedawno objął ster państwa, rządzić będzie wraz z dopiero co ukonstytuowanym gabinetem ministerjalnym—najbliższa przyszłość pokaże.

Pod złą gwiazdą rozpoczęły się nowe rządy. Straszna bowiem katastrofa żywiołowa w Stanach Ameryki północnej pochłonęła takie ofiary w ludziach i takie przyczyniła straty, że bodaj mała wojna nie mniejsze ślady pozostawiłaby po sobie. Całe miasta i wioski legły w gruzach od wichru, ognia i powodzi, a kilkanaście tysięcy ludzi pod gruzami lub w nurtach życie utraciło. Sprężystość jednak rządu i dobra wola społeczeństwa energiczną akcję ratunkową zarządziła, dążąc z pomocą zdewastowanym prowincjom i nieszczęśliwym jej mieszkańcom.

W stolicy świata w Paryżu, również zmieniły się rządy, które objął... powiecie — prezydent Poincaré... nie, w Paryżu rządził prefekt policji Lépine, a obecnie po jego ustąpieniu rządzić będzie następca p. Hennion.

W mieście apaszów niczby nawet sam pan prezydent nie poradził, żeby nie było takich Lépinów, obdarzonych umiejętnością pogromców względem tych może nietyle wydziedziczonych, ile więcej *wydziedziczających* obywateli francuskich. Nic też dziwnego, że zmiana prefekta jest wypadkiem chwili w nadsekwańskim grodzie.

Wypadkiem chwili również możnaby nazwać wylądowanie we Francji... niemieckiego wojskowego balonu Zeppelina. Różnie o tem mówiono, w końcu jednak całe zajście zdołało się jakoś załagodzić i wytłumaczyć, balon z pilotami prywatnymi odesłano napowrót ku krainie „bojaźni bożej“, a pp. oficerów koleją wyekspedjowano do *vaterlandu*. Rozumie się świadczono sobie pozornie różne grzeczności i uprzejmości, jak to zwykle w tak niegrzecznych i nieprzyjemnych sprawach bywa.

Nieprzyjemną sprawą w Berlinie również było wygranie w tych dniach matchu piłki nożnej przez załogę paryską. Tak, tak, pobili francuzi niemców... sytuacja nieprzyjemna, ale i tu skończyła się batalja wystrzałami... z szampanek.

Bodaj to tak zgodnie załatwiać wszystkie — nieporozumienia!

Scriba.



Ciekawy match: piłki nożnej rozegrał się między załogami sportowemi Paryża i Berlina — francuzi zwyciężyli.



Hennion, następca Lépina, nowy prefekt policji w Paryżu.

Jaknajwięcej dzieci!

Ilość urodzin stanowi dla każdego państwa bardzo ważny czynnik w jego rozwoju, nietylko pod względem politycznym, lecz również i ze względów ekonomicznej natury.

Pod względem politycznym chodzi przedewszystkiem o ilość, pojętą jako fizyczną siłę obronną państwa—o ilość, która byłaby dostateczną, odporną masą przeciwko zaborczym zakusom innych narodów. Jednakże i tu widzimy że nie zawsze ilość stanowi o sile. Weźmy np. Chiny, a przekonamy się, że maksymy tej do każdego z państw bez zastrzeżeń stosować nie można, poza siłą bowiem—kultura i stopień cywilizacji oraz sprężystość rządów, stanowią jeszcze o potędze narodu. Chinom np. brak tych ostatnich danych, to też kolosalna liczba urodzin niebieskiego państwa, jak dotychczas, nie jest jeszcze groźną dla innych mniej licznych narodów, przyszłość jednakże może zupełnie inaczej ułożyć ten stosunek, tembardziej, że jak widzimy, rządy republikańskie zostały w Chinach wprowadzone, co stopniowo wykluczy wszelkie nadu-

Sz. Prenumeratorów, którzy nie uiścili reszty pełnej przedpłaty za ubiegły kwartał, prosimy o regulowanie zaległości, bowiem wysyłka pisma może uledz wstrzymaniu.

cia mandarynów i całej byłej kliki dworskiej i wogóle przy demokratycznej dyrektywie państwa, może być skutecznym ekwiwalentem przeciwko żdzierstwu możnych, tak szkodliwemu dla rozwoju narodu.

Ilość urodzin dla państw, posiadających dobre rządy i kulturę jest bardzo ważna, również jako czynnik rozwoju ekonomicznego. *Więcej rąk do pracy, więcej mózgów do myślenia*— bodaj, że to jest silniejsza jeszcze armja, niż całe zastępy bezmyślnego żołnierza uzbrojonego w karabiny i bagnety.

Kultura państwa, jak widzimy w danych statystycznych, najczęściej idzie w parze z gęstością zaludnienia. Belgja, Holandja i t. p., są to państewka o małej ilości mieszkańców lecz o gęstem zaludnieniu, to też każda piędź ziemi jest tam odpowiednio wyzyskana, czego np. niema w Rosji, gdzie istnieją jeszcze wielkie niezaludnione obszary. Już nie mówiąc nawet o północnych stronach, na wyzyskanie których nie pozwalają warunki klimatyczne, lecz w bardzo żyznych i naogół w dobrych warunkach pozostających okolicach spotykamy nader prymitywny jeszcze rozwój przemysłu, handlu i rolnictwa, będący w powijakach, między innymi przedewszystkiem wskutek małego zaludnienia danych okolic. Choć obszar Rosji jest bardzo wielki, ludność jej jednak w stosunku do obszaru jest mała, dzięki jednak dość wysokiemu procentowi urodzin, stale i to znacznie się powiększa.

Ilościowo urodziny w państwach europejskich idą w następującej kolei: w ciągu roku na świat przybyło dzieci w Rosji 4,911,055, w Niemczech — 1,924,778, w Austro-Węgrach — 1,665,194. we Włoszech—1,144,263, w Anglji 1,123,063, w Francji— 774,353, w Hiszpanji — 646,787, w Rumunji 273,106, w Bułgarji — 172,583, w Holandji 168,894, w Serbji 112,235 i w Szwecji 93,513, jeżeli jednak weźmiemy ilość urodzin procentowo do zaludnienia, to otrzymamy zupełnie inną kolej a mianowicie: na 1000 mieszkańców przypada urodzin w Bułgarji 40,3, w Rumunji—39,8, w Serbji—39, w Rosji — 31,4, w Niemczech 29,8,



Rosja: 4.911.055 urodzin. Niemcy 1.924.778. Austro-Węgry 1.665.194. Włochy 1.144.263. Anglja 1.123.063.



Francja 774.353, Hiszpanja 646.787, Rumunja 273.106, Bułgarja 172 583, Holandja 168,894, Serbja 112.235, Szwajcarja 93.513.

w Holandji 28,6, w Szwajcarji— 25, w Anglji 24,3 i w Francji 19,7.

Jak widać z powyższego, najniekorzystniej przedstawia się ilość przeciętna urodzin we Francji, to też kwestja ta była nawet poruszana w parlamencie francuskim, jako groźny prognostyk na przyszłość.

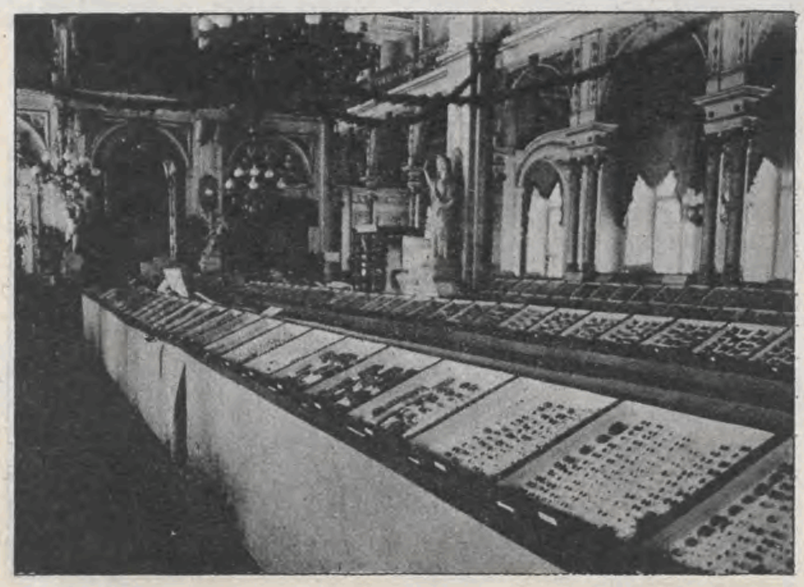
A zatem—*jaknajwięcej dzieci*, oto hasło, które dziś rozbrzmiewa w każdem państwie, troszczącem się o swój byt i przyszłość.

W. Z.

Wystawa entomologiczna w Warszawie.

W dniu 5 kwietnia nastąpiło u nas otwarcie wystawy entomologicznej w sali ratuszowej. Wystawa obfituje w imponującą ilość eksponatów, wśród których zbiory niektórych wystawców liczą po kilka a nawet kilkanaście tysięcy sztuk najprzeróżniejszych odmian motyli i owadów. Na wystawie odbywają się również ciekawe pogadanki, na które, nie wątpimy, skwapliwie będzie uczęszczać młodzież nasza a wystawa tłumnie odwiedzana, zyska przecież zasłużone powodzenie.

Prawdziwa wdzięczność należy się wystawcom, którzy mozolną i długoletnią poważną pracą zebrali tak pokaźne i cenne zbiory, jak również i organizatorom wystawy za zebranie tychże zbiorów do tak pożądanego chwilowego mianownika, jakim jest pożyteczna wystawa entomologiczna.



Widok wystawy entomologicznej w sali ratuszowej.

Miecz i dyplomacja.

Ogólne przygnębienie.—Europa a Czarnogórze. — Oświadczenie kanclerza niemieckiego.—Miljard marek na uzbrojenie.—Przyszłe starcie.—Pod Czataldżą.—Wśród związkowców. — Ugoda polsko-rusińska.



Z upadku Adrjanopola. Tureckie kobiety wyczekują przed domem zarządu miejskiego na podział chleba i węgli.

Nieraz już Europa przebywała chwile bardzo ciężkie, w takim jednak ogólnym stanie przygnębienia, wynikającym z niepewności, dawno już, bardzo dawno nie była. Miecz i dyplomacja zwarły się z sobą. Po jednej stronie maleńkie Czarnogórze, z którem w zakresie militarnym żadne z państw europejskich poważnie liczyć się nie może — po drugiej „koncert" mocarstw, dyktujący wolę swoją Czarnogórzu, które z najzupełniejszym spokojem odpowiada:

„Niezmiernie mi przykro, ale życzeniu Europy zadosyć uczynić nie mogę, a przy sposobności stwierdzam, że słuszność po mojej jest stronie. Europa zaś postępuje niesłusznie".

I jest w tem oskarżeniu racja. Czarnogórze od pół roku dobywa się do Skutari; zdobycie tego miasta jest głównym celem wojny, wytoczonej przez to państwo Turcji; miasto to ze względów zarówno historycznych, jak i etnograficznych powinno należeć do Czarnogórza. Tymczasem Europa — wbrew obowiązującej cały świat w czasie wojennym zasadzie neutralności — żąda od Czarnogórza zaprzestania akcji wojennej, bo mimo ofiar z jego strony poniesionych, nie otrzyma obleganego miasta, gdyż mocarstwa przeznaczyły je dla nieistniejącej jeszcze Albanji niepodległej.

A stało się to na żądanie Austrji, której nietyle zależy na niepodległości albańczyków, ile na niedopuszczeniu wzrostu siły słowiańskiej na Bałkanach. I niewątpliwie Austrja zdołałaby zgnieść i Czarnogórze i sprzymierzoną z niem Serbję, ale powstrzymuje ją obawa, że z poza Serbji i Czarnogórza może wyłonić się większa potęga. I to właśnie jest źródłem tej ogólnej, przygnębiającej niepewności, której wyrazem było nawet oświadczenie osoby spraw tych najlepiej świadomej, bo kanclerza niemieckiego:

„Widmo wojny europejskiej— mówił w parlamencie — nie zostało usunięte. Wszystkie mocarstwa pragną pokoju, ale czy zdołają go utrzymać, tego nie można przewidzieć".

Pamiętać trzeba, że nie jest to urywek z artykułu jakiejś gazety wojowniczo nastrojonej. To urzędowe oświadczenie najwyższego urzędnika w państwie, o którem zwykło się mówić, że ono decyduje o losach pokoju lub wojny w Europie. Wprawdzie słowa te padły dla poparcia żądania, aby naród niemiecki złożył miljard marek na nowe uzbrojenia; nie zmniejsza to jednak ich wagi. Kanclerz niemiecki nie odważyłby się z trybuny parlamentarnej niepokoić Europy, gdyby nie istniały poważne źródła tego niepokojenia.

Opór Czarnogórza, którego nie przestrasza demonstracja potężnych pancerników, zdolnych zniszczyć całą tę niewielką krainę, a równocześnie olbrzymia manifestacja w Petersburgu na rzecz słowian bałkańskich wogóle, a na cześć tegoż Czarnogórza w szczególności — są to widome znaki owego źródła, niebezpiecznego dla Europy.

Zaniepokojenia obecnego nie zmniejsza cisza pod Czataldżą, zwiastująca rychłe zawarcie pokoju między Turcją a państwami bałkańskiemi. Bułgarja niema żadnego interesu w dalszem zdobywaniu linji czataldżyńskiej,



Przybycie greckiego królewskiego jachtu „Amphitrite" z ciałem króla Jerzego do portu w Pireusie w dniu 28 marca.



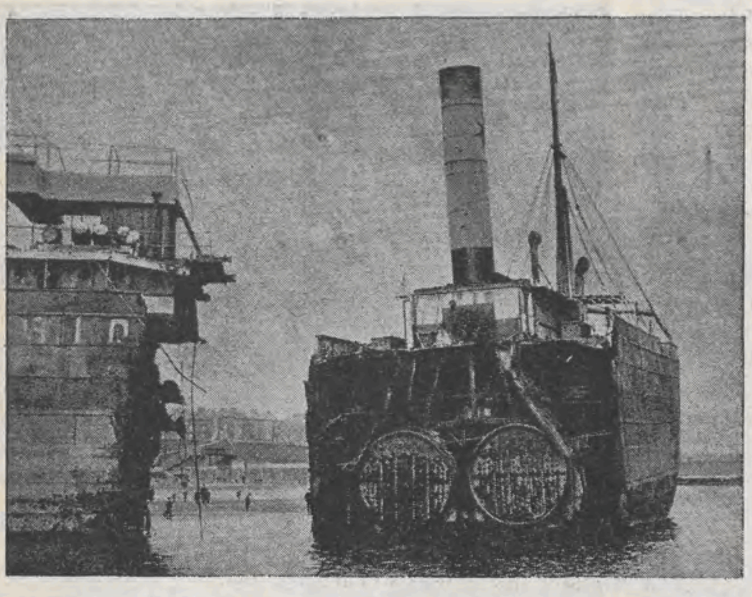
Skutari nad rzeką Bojaną, którą niedawno zdołali czarnogórcy przebyć po szeregu długich i krwawych walk.

gie lata, wieki całe składały się na wyhodowanie nienawiści między grekami a słowianami bałkańskimi. Długich lat, wieków całych potrzeba, by między tymi narodami zapanowała stała zgoda. Bo zgody nie robi się na papierze; życie ją stworzyć musi.

choćby ją i złamała. Konstantynopola nie zajmie, bo na to nie pozwolą mocarstwa. Zresztą poco marnować siły daremnie? A może potrzebne one będą do innych rozrachunków.

I nie byłoby nic dziwnego, gdyby po skończeniu wojny z Turcją, zaczęły się ostre zatargi między dzisiejszymi sprzymierzeńcami. Bodaj, czy nie miał słuszności ktoś, kto powiedział, że łatwiejszem dla państw bałkańskich jest uzyskanie całkowitego zwycięstwa nad Turcją, aniżeli zgodne podzielenie się owocami tego zwycięstwa. Dłu-

Rozumieją to dobrze mieszkańcy wschodniej Galicji, gdzie od kilku już lat „robi się" zgodę między polakami a rusinami. I dobrze, że się ją robi, gdyż niezgoda już dziś zatruwa tam życie obu narodów, a na przyszłość uczyniłaby je wręcz niemożebnem. Ale robota około tej zgody ciężko idzie. Nic dziwnego — praca to sztuczna, zatem trudna; a ma być rolą, na której oby kiedyś wyrosła bratnia miłość. Więc tem większej pieczołowitości przygotowywanie tej roli wymaga. *h. m.*



Katastrofa na morzu. Przez pół przecięty okręt „Orion" zatonął w porcie Old Roker Pier (Sunderlandy).

Ś. p. mecenas Feliks Dębski.

W zeszłym tygodniu zmarł w Warszawie wybitny prawnik ś. p. Feliks Dębski, magister prawa i administracji b. Szkoły Głównej, adwokat przy dawnym sądzie apelacyjnym Królestwa Polskiego, b. radca prawny Tow. Kred. Ziem-



Ś. p. mecenas Feliks Dębski, wybitny prawnik i filantrop.

skiego, członek rady Kasy kredytowej warszawskiej i prezes wydziału gospodarczego Tow. Dobroczynności.

Poza wybitną działalnością zawodową zmarłego, na szczególną uwagę zasługuje również i jego działalność społeczna, dla której dano w swoim czasie wyraz uznania, ofiarując ś. p. Dębskiemu odpowiedzialne stanowisko prezesa wydziału gospodarczego Tow. Dobroczynności, którą to godność aż do śmierci piastował.

Wyjaśnienie. Były duchowny marjawicki p. W. Żebrowski, po pamiętnym przed paru laty rozłamie w sekcie, przestał być marjawitą i nie ma nic wspólnego z duchownym Żebrowskim vel Kiryłłem Żmudzkim, który przyczynił się do wznowienia procesu o kościół w Błoniu. (Artykuł w № 13-ym „Złotego Rogu".)

W dniu 15-ym kwietnia r. b. odbędzie się w lokalu naszej redakcji, Królewska 27, przyznanie szczęśliwym wybrańcom losu z pośród naszych **półrocznych** i **rocznych** prenumeratorów, artystycznego premjum za marzec r. b., na które składają się następujące obrazy:

1) **H. Piątkowskiego** — „Główka". 3) **M. Puffkego** — „Wioska wśród gór".
2) **St. Filipkiewicza** — „Studjum". 4) **Hanćurinkovića** (czeski artysta) — „Jesienne popołudnie".

Uwaga. Prenumeratorowie, których załatwiają księgarnie a nie nasza administracja bezpośrednio, pragnąc uczestniczyć w losowaniu, winni przed terminem, za pośrednictwem odnośnych księgarń, ujawniać swoje nazwiska i adresy.



Femina

2)

CZYNNIKI SZCZĘŚCIA W WIEKU DZIECIĘCYM.

Oprócz ciałek dwuch wyżej wspomnianych kategorji, we krwi dzieci znajdują się i inne ciałka rozmaitej wielkości nie należącej do żadnej z nich. Są to tak zwane makrofity i mikrofity. Następnie krew dzieci zawiera dużo hemoglobiny, przeciwnie zaś mało włóknika. Zasadniczą zaś właściwością hemoglobiny jest zdolność pochłaniania tlenu. Im przeto więcej we krwi hemoglobiny, tem więcej pochłania ona tlenu. Włóknik zaś uznany został za produkt rozkładu elementów komórkowych krwi. A mały stosunkowo procent jego we krwi dzieci świadczy o żywotności i odporności jej ciałek.

Rozważmy teraz niektóre właściwości oddychania u dzieci. Ponieważ piersiowa ich klatka nadzwyczaj jest elastyczna, żebra zaś bardziej ruchome, niż u dorosłych, pojemność płuc zatem znacznie jest większa. Naczynia włoskowate są u nich szersze. Pochłanianie więc tlenu odbywa się energiczniej. Wskutek tego częstość oddychania u dzieci przewyższa częstość oddychania u dorosłych. Z wiekiem ilość oddechów obniża się i już nigdy nie dochodzi do tej wysokości, co w dzieciństwie.

Tlen, w znacznej ilości pochłaniany przez płuca, komunikuje się przez cienką błonę pęcherzyków płucnych z gorącą falą krwi, szybko krążącej w naczyniach krwionośnych i wchodzi z nią w związek chemiczny. Wskutek czego krew żylna zamienia się na tętniczą. Prąd zraszający roznosi tlen po całym organizmie dziecięcym i znakomicie odżywia jego tkanki. Ponieważ organizm pochłania bardzo dużo tlenu, a wytwarza niewiele kwasu węglanego, budowa i wzrost tkanek trwa tam bez przerwy.

W organach trawienia dostrzegamy u dzieci również pewne właściwości tak pod względem anatomicznym, jak i fizjologicznym. Żołądek ich jest stosunkowo mniejszy, niż żołądek ludzi dorosłych; ilość zaś gruczołków w kiszkach znaczniejsza, a naczynia włoskowate szersze. Gdy dodam, że objętość kiszek jest większa, to stanie się zrozumiałem, dlaczego proces trawienia i przyswajania odżywczych soków intensywniejszy jest w wieku dziecięcym, niż w dojrzałym. Duży wymiar wątroby u dzieci nie jest również bez znaczenia. Przez nią bowiem wydzielają się produkty rozkładu tkanek, które wychodzą razem z żółcią.

Śledziona wreszcie jest u dzieci stosunkowo daleko większa, niż u dorosłych. A śledziona — to laboratorjum, w którem tworzą się białe ciałka krwi i hemoglobina. Tam odbywa się również zabarwienie białych ciałek krwi i powstają czerwone.

Jest więc zupełnie zrozumiałe, dlaczego w organizmie dziecięcym na każdy sześć. milimetr przypada stosunkowo znaczniejsza ilość białych i czerwonych ciałek krwi. Proces wydzielania jest u dzieci i częstszy i intensywniejszy.

Do funkcji fizjologicznych, znanych pod nazwą przemiany kształtów należą: wzrost organizmu i przybytek na wadze.

Przewaga wzrostu, wagi, objętości klatki piersiowej i pojemności płuc przypada na lata, poprzedzające okres dojrzałości płciowej. Anatomja i fizjologja mózgu dzieci posiada pewne właściwości, o których warto wspomnieć, mózg bowiem jest jednym z centralnych organów układu nerwowego. Mózg ich rośnie równie szybko, jak i inne organy. Musi być przeto częściej odżywiany, a do tego potrzebne są odpowiednie drogi komunikacyjne. Istotnie, wszystkie tętnice mózgowe u dzieci mają znaczną stosunkowo średnicę. Ciała prążkowane i wzgórki wzrokowe są stosunkowo większe, niż u dorosłych. Badania naukowe wykazały, że i sama istota mózgu jest u dzieci bardzo miękka i bogatsza w wagę, niż u dorosłych. Dlatego to przemiana materji odbywa się tam intensywniej. A mózg jest głównem ogniskiem energji życiowej w całym organizmie. Za pomocą nerwów komunikują się z nim najbliższe i najdalsze narządy. Mózg wysyła impulsy nerwowe do wszystkich części ciała. Jeżeli niema dostatecznego impulsu nerwowego, wówczas działalność narządu słabnie i następuje atrofja. Mózg dzieci odznacza się

większą energją, którą wysyła do najdalszych okolic organizmu. Anatomiczne i fizjologiczne właściwości mózgu przemawiają również na korzyść tych warunków biologicznych, w jakich znajduje się organizm dziecięcy.

Powyższe czynniki fizjologiczne są gruntem, na którym rozkwitają wspaniałe kwiaty szczęścia dziecięcego. Wyrazem zaś tego szczęścia i zadowolenia jest żywotność organizmu.

Mówiąc o stosunku czynników fizjologicznych do szczęścia u dzieci, zatrzymamy się chwilę na zjawiskach wzrostu. Wzrost tkanek wywołuje bezwątpienia cały szereg wrażeń przyjemnych. Jest on bowiem oznaką nadmiaru sił organicznych. Gdy wyjdziemy z powyższego założenia, nie ździwi nas przewaga nastroju wesołego, jaki cechuje wiek dziecięcy.

Czynniki psychiczne.

Te ostatnie również należy uwzględnić, gdyż mogą one wpłynąć dodatnio lub ujemnie na szczęście w wieku dziecięcym.

Jakaż jest psychologja procesu umysłowego u dzieci? Najsamprzód trzeba zwrócic uwagę na funkcję zdobywania wiedzy.

Podstawą jej jest właściwa wszystkim dzieciom ciekawość. Ona to wyłącznie daje podnietę wszystkim ich operacjom umysłowym. Zadosycuczynienie ciekawości jest zaspokojeniem jednego z zasadniczych wymagań natury psychicznej dzieci, sprawia im zatem ogromne zadowolenie. Wrażenia zmysłowe również mają dla nich olbrzymie znaczenie. Gdyby nie one, niemożliwy byłby proces myślowy. W dzieciństwie zaś najprostsze akty psychiczne sprawiają zadowolenie, radość, zachwyt, słowem to, co pospolicie nazywa się szczęściem.

Nie jest dzieciom również znana walka o byt. Dlatego z takim optymizmem spoglądają na świat. Jedynie zdarzenia wstrząsające, np. choroba lub śmierć blizkiej osoby sprawiają dyssonans w ich życiu i to nie na długo. Pojęcie o harmonji świata potęguje się przeświadczeniem o dobroci wszystkich ludzi. Przeświadczenie to jest jednym z czynników ich szczęścia.

(d. c. n.)

E. Żypowska.



WŁASNA ŻONA.

„Moja żona"... Jak doniosłe znaczenie mają te słowa!... Dla kobiety w tych paru wyrazach mieści się całe jej życie... całe jej duchowe istnienie, cały jej byt materjalny. Mężczyzna który ma prawo ją tak nazywać, jest—a przynajmniej być powinien, poważnym jej opiekunem, najlepszym przyjacielem, najmilszym towarzyszem, najdroższym mężem-kochankiem.

„Moja żona" wszak jest i być musi wcieleniem wdzięku i dobroci—pobłażania i godności — owa mądra i przezorna życiowa wspólniczka — doradczyni, nigdy nie zawodząca, najpewniejsza przyjaciółka. Wzamian należy się jej od męża głęboki szacunek—subtelna troskliwość, wyszukana uprzejmość i słodycz... Tak pojęte i wprowadzone w czyn warunki zobopólne, utworzyłyby chyba doskonałość, trudną do osiągnięcia, ale jednak nie niemożliwą przy zobopólnych chęciach.

Niestety, życie codzienne dwojga związanych ze sobą istot—posiada rozliczne, trujące naleciałości, najeżone jest tysiącem kolców powstałych z nawyknień, z egoizmu, z namiętności, to też niweczy i burzy często upragnione szczęście i spokój... chodzi o to, by umieć przetrwać burze chwilowych niesnasek — by odnaleźć równowagę i zawsze dojść do porozumienia.

Lecz jak w przyrodzie po każdej burzy następuje obniżenie temperatury, tak w małżeństwie po każdej sprzeczce— chłodnie uczucie, następuje to stopniowo lecz nieubłaganie. Często powtarzające się nieporozumienia, powodują wzajemne zniechęcenie, przechodzące w końcu... w obojętność.

Działa tu również ujemnie, tak często zawodna *pewność*, jaką daje poczucie *przynależenia* żony do męża. Psychologja ludzka jest często nielogiczna, bo to cośmy zdobyli najtrudniej skoro już raz jest *naszem*, przestaje nas zajmować, traci na wartości. Ileż te razy owe miłe słowa „Moja żona" brzmią jakby fałszywie, jakby z odcieniem nudy i obojętności niema w nich ani uczucia—ani nawet należnego szacunku...

Największy kult kobiety — *„własnej żony"* posiadają amerykanie. *Żona własna*, stoi tam na piedestale, otoczona miłością, zajmuje pierwsze miejsce w życiu mężczyzny—trzeba dodać, że amerykanki są śliczne i bajecznie lojalne. Trójkąt małżeński, jest ze społeczeństwa amerykańskiego niemal wykluczony. Największym tego dowodem jest współczesna ame-

rykańska literatura, oraz teatralny repertuar, w którym niewiara małżeńska, będąca najczęściej podstawą i założeniem europejskich dramatycznych utworów — nie istnieje — bo jej niema w obyczajach. Oczywiście i tam jak wszędzie i we wszystkiem znajdują się wyjątki ale tak nieliczne, że giną w całej masie.

Anglicy, hołdujący swemu *ja* z całym egoistycznym cynizmem, przyłączają do niego i jednoczą z tem ukochanem *ja*, *własne żony* — i dla tego *„my vife"*, zajmuje poważne i godne miejsce w angielskiem społeczeństwie. Francuzi — ci z lepszego, inteligentnego ś w i a t a, *par excellence* uprzejmi i wytwornie grzeczni dla płci pięknej, takimiż są dla własnych żon, a unikając nazwy *„ma femme"* zastępują ją tytułem *Madame* z dodaniem swego nazwiska. Gangrena małżeńskiej niewiary, wszelkie możliwe trójkąty i czworoboki — toczą francuskie społeczeństwo, z rozszalałym Paryżem na czele. Mężczyzni czynią to otwarcie — bez przeszkód lub kontroli, kobiety dbają trochę więcej o pozory — ale niestety, o pozory tylko... I tam są wyjątki, lecz nader nieliczne.

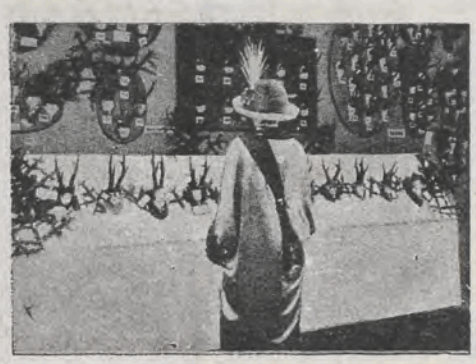
Niemcy przez długie lata byli mężami trochę gburowatymi, galanterja była im nieznana — ale w gruncie kochali i szanowali swoje *„Eigene Frauen"*, dziś tradycję tę zachowała prowincja.



W teatrze. Własny mąż nieraz bywa w trudnem położeniu: lornetuje widownię — źle, lornetuje scenę — jeszcze gorzej.

Berlińczycy wzorują się na francuzach — ale nie tak starannie — z większym umiarem — mniejszym cynizmem. Niemki a szczególniej mieszkanki stolicy, choć już bardzo daleko odbiegły od pierwowzoru zawołanych gospodyń i... kucharek, posiadają jednak tradycyjne zamiłowanie rodzinnego gniazda, pielęgnowanego z całym pietyzmem, są doskonałemi paniami domu — *Haus damen*, nie wymagając od mężów ani galanterji ani... piedestału. Romantyczny jednak temperament tych współczesnych Gretchen sprawia, że często zaniedbywane przez mężów — szukają po za małżeństwem, choć pod jego obsłoną, dopełnienia braków matrymonjalnych, to jest — owego piedestału i galanterji.

Galanterję męża wobec *własnej żony* pragnę określić bliżej. Żona dajmy na to udaje się na *five o'clock* do swej przyjaciółki — mąż przychodzi tam później. Jako człowiek młody, całuje starsze znajome panie a nawet i młode — w rękę, zaczynając oczywiście od pani domu — i dopiero po przywitaniu wszystkich zgromadzonych podaje *własnej żonie* rękę do uściśnienia. Jest to wykroczenie przeciw grzeczności. Prawdziwie dobrze wychowany człowiek, i uprzejmy mąż wita się przedewszystkiem z panią domu, następnie z *własną żoną*, a potem dopiero z resztą towarzystwa.



Niejednej własnej żonie przychodzą różne refleksje podczas zwiedzania wystawy rogów.

Państwo X. udają się razem na zebranie — lokaj melduje — państwo X wchodzą witani przez panią domu, i w kilka sekund małżonek znika w dalszych salonach, witając się z jednymi, gawędząc z drugimi — i gdyby nie uprzejmość pani domu — *własna żona* byłaby pozostawioną *własnemu* losowi. Dobrze wychowany człowiek i uprzejmy mąż, powinien tak długo pozostać przy *własnej żonie*, aż się przekona, że dostateczna liczba znajomych zapewnia jej dłuższą rozmowę.



Po balu. Własna żona nie jest zadowolona jeżeli mąż z zadowoleniem flirtował z cudzą żoną.

Wogóle jak mało mężów troszczy się w towarzystwie o *własne żony!* Odosobnienie to jest tak znamienne, że dalsi znajomi dopiero przy wyjściu dowiadują się, że pan X—jest żonaty i że jego *własna żona* znajdowała się na tem zebraniu.

W Anglji dzieje się inaczej — tam każda pani domu, stara się najusilniej, by przy obiednim stole małżonków posadzić w ten sposób, aby nie tylko mogli się widzieć ale i rozmawiać ze sobą. Obserwując angielskie towarzyskie zebranie, łatwo zauważyć można, że małżonkowie porozumiewają się choćby tylko spojrzeniem i że wogóle anglik interesuje się bardzo żywo *my vife* czyli *własną żoną* — gdy tymczasem w innych społeczeństwach, niestety, należy do szyku i dobrego tonu, *własną żoną* zajmować się jak najmniej, lub nie zajmować się wcale.

„Czyż to nie logiczne i nie naturalne" mówią ogólnie mężczyzni — że ludzie, którzy do siebie należą, nie mogą poddawać się formom obowiązującym ludzi sobie obcych. Ależ to nie formy, to proste względy przy-

zwoitości, to szacunek dla samego siebie i dla kobiety, która jest *własną* żoną—wymagają tej subtelnej dla niej grzeczności, tej koniecznej opieki — tej czułej pieczołowitości, któremi najlepiej obdarzyć ją może i powinien tylko *własny mąż*, bo od męża przedewszystkiem jej się to należy, pozbawienie zaś tych pięknych przywilejów zabija w żonie kobiecość a tem samem odbiera mężczyznie największy życiowy urok, to jest serce i przywiązanie *własnej żony!...* *Marcèle.*

BILARD.

Wielka popularność i ogólne rozpowszechnienie gry bilardowej, zwróciły uwagę znawców, specjalistów — estetyków, którzy zapragnęli uszlachetnić tę przyjemną grę, wysubtelnić ją, uczynić dostępną dla ludzi o wyższej kulturze, a nawet dla kobiet, które już dawno o tej miłej rozrywce marzyły. W tym celu a szczególniej z uwzględnieniem ostatniej ewentualności, należało przedewszystkiem stworzyć bilardowi odpowiednie otoczenie—a właściwie pomieszczenie—przenieść go na grunt prywatny. Zadanie to przeprowadzili ludzie zamożni, posiadający własne domy, pałace, wille, przeznaczając na pomieszczenie bilardu *oczywiście najwytworniejszego* — obszerną s a l ę, odpowiednio urządzoną, z właściwem oświetleniem dziennem i wieczornem, z odpowiednią dekoracją ścian, z właściwem umeblowaniem tworzącem techniczno - estetyczną doskonałość. Przy bilardach znajdujących się w tych szczęśliwych warunkach, zjawiły się damy, z początku jako adeptki i uczennice panów profesorów— a bardzo s z y b k o jako współgrające p a r t n e r k i, przewyższające niekiedy zręcznością, pewnością oka i ręki swych nauczycieli. Wiadomo, że gra w bilard wymaga sprawności ruchów, zgrabności, lekkich i subtelnych rzutów, a w tem wszystkiem panie celować powinny. Na tej niewielkiej przestrzeni wybitej zielonem suknem wyliczonej z matematyczną ścisłością i ujętej w ramujące ją *bandy*, toczą się w rozlicznych kierunkach śliczne różnokolorowe bile, ulegając niewolniczo umiejętnym pchnięciom kija, kierowanego wprawnem ramieniem, a opieranego o lewą rękę grającego. Jedno fałszywe drgnięcie, jeden wadliwy ruch — a bila toczy się nie tam, gdzie zasady gry być jej każą.


Na każdem polu a więc i na... zielonem, płeć piękna dąży do równouprawnienia.

Grę w bilard importowano do nas z Japonii i najlepiej grają w nią Japończycy. Najlepszym z graczy europejskich — nigdy przez nikogo nie zwalczonym, był poległy w południowej Afryce pułkownik Arnim. Bilard obecnie uważany jest jako *sport*, któremu oddają się namiętnie panie i panowie. Największemi zwolenniczkami gry bilardowej, są angielki, amerykanki i niemki. Francuski mniej ją uprawiają—polki grające na bilardzie, należą do bardzo *jeszcze* nielicznych wyjątków.

Rady i wskazówki.

Pani M. B. W odpowiedzi na list Sz. Pani komunikujemy, że aby pozbyć się wyrzutów na twarzy najlepiej jest myć się przez pewien czas mydłem nafto-siarkowem i nacierać twarz na noc „Mlekiem czarodziejskiem", zalecanem nietylko przez płeć piękną, lecz i przez powagi lekarskie.

Częstochowiance. Rękawiczki kosmetyczne 2 rb. 50 kop. Krem Pâte — 2 rb. 25 kop.; pudełeczko (Manicure) 75 kop., 2 rb. 25 kop., 4 rb. 25 kop., a płyn Rosario — 1 rb. Za nadesłaniem należności Administracja naszego pisma może Sz. Pani powyższe środki dostarczyć.



Zamach na zdrowie ludności.

Łódź jest gruntem szczęśliwie podatnym dla specjalnej i wielce charakterystycznej gałęzi przemysłu: fałszerstwa produktów spożywczych. Już przed kilku laty na wystawie Hygienicznej w Łodzi, nieugięty surowy stróż zdrowia publicznego, dr. Serkowski, stwierdził stan fałszerstwa produktów spożywczych, w wysokim stopniu rozwiniętego w Łodzi. Ten sam doktór był „biczem bożym" dla fałszerzy wody sodowej i mleka. Obecnie zaś niema prawie tygodnia, ażeby do ścieków nie wylewano znacznej ilości mleka zafałszowanego, skonfiskowanego na targach miejskich.

Według sprawozdania laboratorjum miejskiego, w ciągu roku dokonano na rynkach targowych, sześć oględzin produktów spożywczych, z których zniszczono, jako niezdatnych do użycia 5000 garncy mleka, zawierającego 80% wody, 200 funtów śmietany z zawartością mąki i krochmalu, 150 funtów masła, 60 garncy jabłek zgniłych, 70 funtów ryb zepsutych i 170 funtów mięsa zepsutego.

To dopiero drobny ułamek wymuszonego fałszerstwa. Laboratorjum zbyt rzadko analizuje produkty, nie posiada ani sił, ani środków na to, ażeby być instytucją kontrolującą w całem znaczeniu. Laboratorjum nie może samodzielnie dokonywać rewizji i nadzoru nad produktami i tylko na żądanie policji dokonywa takich rewizji, a więc wypadkowo.

W takich warunkach fałszerstwo musi się rozrastać we wszystkich gałęziach produktów spożywczych. Drobni przekupnie, dostarczający produktów z okolic, fałszują je w sposób pierwotny, inni—fałszują je za pomocą udoskonalonych środków technicznych. W przeszłym roku na pierwszym zjeździe aptekarzy polskich w Łodzi rozprawiano bardzo szeroko nad tą żywotną sprawą. Dziwnym zbiegiem okoliczności do tych rozpraw wybrano właśnie Łódź—teren największego fałszerstwa i największej bezkarności pod tym względem. Między innymi w rozprawach tych brał udział wybitny specjalista, p. Bronisław Koskowski, który następnie ogłosił drukiem pracę o fałszowaniu produktów spożywczych. Ponieważ Łódź dotąd nie posiada żadnej organizacji, żadnej instytucji miejskiej, która walczyłaby skutecznie z tą plagą, więc mieszkańcy miasta powinni stworzyć pewnego rodzaju samoobronę. Taką samoobroną może być obeznanie się ze sposobami zwalczania fałszerstwa i unikania go. Z tego względu praca p. Koskowskiego zasługuje na jaknajszerszą popularyzację.

Fałszowanie produktów spożywczych jest zjawiskiem bardzo złożonem, po pierwsze — ze względu na przyczyny, powodujące zafałszowanie, po wtóre — na postać w jakiej się przedstawia, po trzecie—ze względu na skutki, jakie wywołuje. Zwykle te fałszowania są rozpatrywane z dwu punktów, t. j. z punktu przyczyny, która fałszerstwa powoduje. Są tedy zafałszowania nieumyślne, powstałe skutkiem nieznajomości rzeczy ze strony fabrykantów lub kupców. Do drugiej zaś grupy zafałszowań należą te, które pochodzą z głupoty i niesumienności. Następstwa tej kategorji fałszowań bywają najgroźniejsze, gdyż oprócz nieszczęśliwych wypadków mamy do czynienia z umyślną zmianą produktów, bądź w celu powiększenia wagi, bądź lepszego wyglądu, bądź też zamaskowania gnicia produktów. Fałszują ludzie, nie znający się na własnościach używanych do tego środków, naprzykład zabarwienie na żółto ciasta, cukierków, makaronów i t. p. farbą trującą binitrokrezolem, albo też bardziej niebezpieczną guani-guttą, lub chromianem ołowiowym, dalej zabarwianie napojów i soków fuksyną, zawierającą arszennik, co się zdarza bardzo często, gdyż prawie wszystkie gorszego gatunku soki do wody sodowej są farbowane w ten sposób. Następnie — dodawanie do octu kwasu siarczanego, do win i wódek — eterów trujących, do konserw—miedzi, dla nadania pięknej barwy zielonej, do kwaśniejącego mleka—sody lub kredy i t. d.

Trzecia grupa, to fałszowania wyrafinowane. Pewien nauczyciel fałszerstwa w Berlinie ogłaszał publicznie program kursu umiejętności fałszowania rozmaitych produktów. W ogłoszeniu tem zapraszał na wykłady kupców, fabrykantów i wogóle wszystkich, którzy pragną szybkiego wzbogacenia się. W ostatnich czasach bardziej rozpowszechnił się olej mineralny (otrzymywany z nafty), służący do podrabiania różnych olejów roślinnych. Jest on tani, pozbawiony zapachu i smaku, łatwo we wszelkich stosunkach daje się mieszać z olejami tłustymi, dalej — posiada ciężar właściwy, zbliżony do ciężaru właściwego olejów tłustych. Dzięki temu jest bardzo dogodnym produktem do podrabiań. To też fałszerze nie wahają się dodawać nawet 50% tego oleju do olejów naturalnych. W ten sposób jest fałszowana nietylko oliwa w ostatnich czasach i inne tłuszcze podobne, ale nawet oleje lecznicze, jak olej rycynowy i tran. Czysta oliwa w ostatnich czasach stała się rzadkością. Tran fałszowany czasem zawiera 45% oleju mineralnego, a pod względem wyglądu, zapachu i smaku nie można go odróżnić od tranu czystego. Co gorsza, że nawet powierzchowne próby chemiczne nie mo-

gą wykryć fałszerstwa. To też ofiarowywany przez firmy pokątne tani tran z pewnością jest zawsze produktem zafałszowanym.

Wszystkie powyższe rodzaje zafałszowania i wszystkie ich sposoby wybornie są znane w Łodzi i niewątpliwie jej mieszkańcy codzień spożywają przynajmniej 50% produktów zafałszowanych. Tak więc handel produktów spożywczych w Łodzi jest w znacznym stopniu zamachem na zdrowie ludności. Pozatem na to zdrowie czyhają wszystkie warunki życia w tem miejście, najbardziej zaś brak kanalizacji i wodociągów. To też na mocy badań laboratorjum miejskiego w Łodzi, znaleziono w wodzie zwiększoną ilość chloru, amoniaku i azotu. Jeszcze przed kilku laty rozbiory wody, robione przez miejską stację hygieniczną, znalazły w wielu studniach zarodki tyfusu. Z dniem każdym coraz bardziej daje się odczuwać w miejście brak wody, zdatnej do picia. Tymczasem o wodociągach nic nie słychać. Sprawę tę odłożono do czasu wprowadzenia samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem, a więc można będzie czekać jeszcze długi szereg lat. Tymczasem ludność pić będzie wodę zabójczą dla zdrowia i wyczekiwać samorządu.

Zdrowie ludności łódzkiej zagrożone jest jeszcze z innej strony. Czyhają na nie tysiące mieszkań lichych, zaniedbanych, wilgotnych, ciemnych, w domach brudnych, gdzie najelementarniejsze zasady hygieny są pogwałcone. Nie ulega wątpliwości, iż źródłem chorób zakaźnych i ich rozsadnikami są przeważnie domy łódzkie. Na poparcie tych twierdzeń podajemy wymowne fakty świeżo zanotowane w *Rozwoju:* Od Nowego roku do 1 kwietnia r. b. statystyka wykazuje, że w jednym tylko domu pod nr. 12 przy ul. Łagiewnickiej zachorowało na tyfus 6 osób. Zdawałoby się, iż w domu tym zamieszkują setki lokatorów. Tymczasem cały ten dom składa się z budy piętrowej drewnianej, w której się mieści sklepik rzeźnika—jatka brudna, obok mieszka szewc, na górze czterech lokatorów, na dole tyleż. Dalej w podwórzu stoją dwa domki drewniane, zapadłe w ziemię, pochylone od starości, w których mieszka kilka rodzin. Wszędzie brud, podwórze pełne błota, przy bramie kupa gnoju, zwiezionego z ulicy. W posesji tej zachorowały na tyfus plamisty dn. 7 marca trzy siostry Kriszkówny, dn. 11 marca Lejzor Birmzweig, a 31 marca Jarosław Karaś. Dalej na ul. Zgierskiej w domu nr. 15 d. 27 lutego zachorowała 1 osoba, dn. 10 marca przy ul. Wolborskiej w domu nr. 9 jedna osoba dn. 12 marca na Starem Mieście nr. 8 jedna osoba, dn. 5 marca przy ul. Brzezińskiej nr. 94— 1 osoba i 20 marca przy ul. Ogrodowej nr. 7— 1 osoba, ogółem 12 osób. Dom na Starem Mieście nr. 8 w stanie opłakanym, schody od paru lat nie myte, brama również, na podwórzu cuchnące błoto, wszędzie pełno brudu. Nie lepiej się dzieje w innych domach, w których wybuchła choroba. Słowem, dzielnica staromiejska jest gniazdem chorób zakaźnych. Dodać należy, iż domy na Starem Mieście nr. 8 i przy ul. Wolborskiej nr. 9, są w pobliżu budek z towarami. Tą drogą niebezpieczna choroba może się dalej rozszerzyć, tembardziej, że Łódź nie posiada dostatecznych środków, sił i energji do walki z tą straszną plagą.

Zenon Pietkiewicz.

Roboty publiczne.

Już od trzech miesięcy waży się sprawa robót publicznych, które dałyby możność zarobkowania ludności robotniczej, pozbawionej pracy skutkiem dotkliwego zastoju w przemyśle. Sprawa ta była i jest bardzo pilną, *niecierpiącą zwłoki.* A jednak, pomimo to, pomimo usilnych starań, dotąd nie zdołano zdobyć zatwierdzenia tych robót na zawiłej drodze biurokratycznej — wreszcie wysłano nawet specjalnych delegatów nad Newę. Tymczasem 100 tysięcy, wyznaczonych na te roboty leżą bezczynnie, a dziesiątki tysięcy ludzi, pozbawionych pracy, wyciągają ręce żebracze po jałmużnę, zbieraną przez komitet obywatelski. Roboty publiczne miały być tym najzbawienniejszym środkiem pomocy dla rzesz robotniczych a zarazem byłaby to praca owocna, gdyż miałaby na celu wykonanie udogodnień, najniezbędniejszych w życiu ekonomicznem i kulturalnem ludności.

Jakież właściwie byłyby te roboty? — Nie może być mowy o kanalizacji i wodociągach, gdyż te nie są jeszcze zatwierdzone i co najważniejsza—na ich wykonanie potrzeba nie dziesiątków tysięcy rubli, ale miljonów. Nie mogą to być roboty około wznoszenia nowych gmachów publicznych: szpitali, szkół, zakładania ogrodów, budowy nowych linji tramwajowych, kolei i t. p., bo na to również potrzeba znacznych funduszów i... zatwierdzenia tych robót, a ich zatwierdzenia nie można oczekiwać... przed wprowadzeniem samorządu. Więc czemże właściwie będą te szumnie zwane „roboty publiczne"?—Będzie to robienie jakichś kanałów (zapewne na przedmieściach, dla usunięcia wiecznie gnijących i cuchnących dołów), brukowanie ulic strasznie zniszczonych, zaniedbanych i pozatem chyba nic więcej. Ilu ludzi może pracować przy tych robotach? — Może kilkuset, może najwyżej tysiąc. I to coś warte, a raczej byłoby warte, gdyż przy takich ceremonjach biurokratycznych nic nie jest warte. Upłynęły trzy miesiące zabiegów, upłyną może jeszcze trzy a ludzie pozbawieni pracy będą oczekiwali ciągle tych robót. Mogą przez ten czas albo wymrzeć z głodu, albo wywędrować gdzieindziej. W każdym razie czekać na te roboty przy pomocy jałmużny „obywatelskiej" już nie będą, bo czas kwestowania na tę jałmużnę i okres działalności obywatelskiego komitetu kończy się już ostatecznie dn. 15 kwietnia.

Heron.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza. **Łódź, Inżynierska l.**

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZOWNA.

13)

Czarny chleb.

— Ino, panie ostrożnie mówić, żeby komisarz nie słyszał!— bo on się wyłże, a pan pojedzie — to komisarz mnie jak muchę zgniecie.

— Nie lękaj się, a jeść dawaj tymczasem.

Chłop zajął się gotowaniem, a dwaj panowie zaczęli ze sobą rozmawiać w obcym języku, a wreszcie wstali — i wyszli przed chatę. Znowu noc była cicha i miesięczna. Usiedli nad rzeką, i paląc papierosy milczeli zapatrzeni w leniwie płynącą wodę.

— Słuchajno — o wszystkom cię pytał i o wszystkich. Tydzień temu to się stało— mnie się zdaje żem przez ten tydzień — o lata dojrzał — i że to wszystko strasznie dalekie. Alem cię jeszcze o jedno nie spytał: a ona?

— Ona wyjechała — ze starym Brunerem.

— Tylko tyle!

— Tylko. To było całemu światu wiadome — tylko wy dwaj byliście ślepi i głusi. Ona zwykła przeciętna awanturnica. Bruner miljoner stary — doprowadzi go do małżeństwa, a wy — dwa koguty, bardzo młode i głupie.

— A żeby Seweryn umarł!

— Albo ciebie, ten chłop z wody nie wyciągnął w porę!

— I to wszystko: szał, wściekłość, nienawiść, mściwość, zabójstwo, samobójstwo, rozpacz, upokorzenie, wstyd, żal — całe piekło udręczeń, dla podłej baby! Symon ma rację — trzeba być durniem!

— Nie będziesz ostatnim — pociesz się tem!

— Ale myślę — że w mojem życiu to będzie ostatnie. Zamykam ten cały okres. Nie będę miał już sił przecierpieć więcej — com znosił przez to marne niby kilka dni— Ani pamiętam większej szczęśliwości — jak ta chwila, gdym się dowiedział, że Seweryn żyje.

— Jak myślisz — on mi przebaczy!

— Seweryn! Przecie on się czuł winnym względem ciebie. Pojedziemy jutro?

— Tak. Do Polanowa naprzód. Dam się przecie poznać — i wydam przedewszystkiem rozporządzenie — żeby mi tu, gdzie ta chata, wybudowano letni dworek, w którym Symon będzie mieszkać i rządzić. Będę tu przyjeżdżać, przebywać — słuchać jego filozofji — i jeść czarny chleb. Tu jest jakiś świat — poza złem i dobrem, taki inny — jakby z innej planety — i jam się tu więcej nauczył — jak przez całe dotychczasowe życie.

— Czy ty słyszysz, że tu coś mówi?

Umilkli — słuchali. W toni plusnęła czasem ryba, ćwierkały dyskretnie świerszcze, od lasu przeszedł poszum, z nieba oderwało się gwiazd parę — po krzakach, zda się, słychać było oddech uśpionych ptasząt.

— Śliczna noc! szepnął gość.

Drzwi chatnie skrzypnęły, i spłoszył ciszę głos powolny chłopa.

— Wieczerza na stole, a siana usłałem bogato na ławie. Niech panowie powieczerzają i legną, bo już kurki na niebie wstają — późno.

Rosa zacznie padać — zdrowiej przy kominie.

— Chleb jest, Symonie?

— Jest, panoczku, ten że sam, świeży, zdrowy. Niech panom smakuje.

— Pójdźmy. Opowiesz nam co jeszcze o nim.

KONIEC.

12) TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

BOHATER.

POWIEŚĆ.

— Nie mieliśmy czasu pomówić ze sobą, zaczęła panna.

— Ach, westchnął porucznik... tak... służba! Jakże mi się długą ta noc wydała... i chwila jeszcze, a byłbym przyszedł zapóźno, dodał jakby z wyrzutem.

— Zabieram chorego brata do domu, odpowiedziała, tłumacząc się.

— Wiem... Mam nawet permisję, towarzyszenia pani, ale...

Zawahał się.

Zrozumiała to wahanie. Fala żalu uderzyła do serca i zalała całą jej duszę bezmierną rzewnością. Uczuła potrzebę najpełniejszego wyrażenia, jak bardzo, jak bezgranicznie pragnie widzieć go teraz przy sobie... Chciała by pochwycić tę kochaną głowę w ręce, przycisnąć do piersi, okryć pocałunkami blade, zmęczone czoło i krzyczeć głośno, na cały świat, że jest dumna z niego, że jest szczęśliwa.

Dlaczego tego nie uczyniła? Zapewne krępowała ją obecność ludzi obcych. Wstyd niewieści, konwenans towarzyski, może przesąd odwieczny nie pozwolił jej na wybuch, który był potężną, najistotniejszą potrzebą jej duszy.

Coprawda — właśnie młody adjutant, z garścią odkomenderowanych do eskorty ułanów, stanął obok sani i nachylając się z niewielkiej zaiste wysokości swego chmyza, rzekł dwornie.

— Otom do usług waćpanny z całą swoją siłą zbrojną!

Panna Krystyna spojrzała na niego zakłopotana.

— Panie adjutancie, mamy zabrać ze sobą porucznika Grabowskiego... dostał permisję...

— Ba, jakże waćpanna zabierze tego oficera, skoro już w saniach brat waćpanny chory leży i, do djaska, na trzecią osobę miejsca nie bardzo widzę.

— Właśnie, chciałam prosić — możeby który ułan konia mu swego użyczył. Wnet mu się to odeśle do obozu.

— Nie może to być. W tym momencie zwijamy obóz i z całem wojskiem ciągniemy na Sejny.

— Jeżeli mi waćpanna pozwoli, rzecze nieśmiało porucznik, stanę za saniami na płozach i jakoś do domu dobijemy.

Nie czekając odpowiedzi zajął miejsce za saniami.

— W drogę, krzyknął.

Marcin zaciął konie.

Ruszyli.

O kilkanaście kroków za nimi cwałowali ułani z adjutantem na czele. Panna Krystyna czuła obok głowy swojej głowę Janka i ogarniało ją uczucie wielkiej błogości. Głosem nizkim, drżącym, ściszonym rzuciła.

— Janku!

A potem znowu zapanowała chwila milczenia.

— Czy nie miałeś żalu do mnie, żem cię tak szorstko, tak twardo...

Uczuła, że głowa Jana nachyliła się przy jej ramieniu, wyciągnął jej rękę z zarękawka i złożył na niej gorący pocałunek.

— Nigdy, tak mi panie Boże dopomóż! Kazałaś mi spełnić obowiązek spełniłem z wdzięcznością!..

W tej chwili przydreptał na swoim chmyzie młody adjutant.

Rozmowa się urwała.

Tamten ze swej strony, jakby czuł, że obecność jego w danej chwili jest mniej pożądana, tłumaczył, że jest ona przecież konieczna.

— Że nasza eskorta nie jest zbyteczna, chciałbym tu waćpannie opowiedzieć sposobem przykładu, jako zeszły nocleg nieszczęśliwie nam się wydarzył. Ciągnąłem za drugim pułkiem ułanów. Już było koło 7-mej wieczorem, śnieg prószył gęsty i ciemność nocna nie bardzo do dalszego marszu zachęcała. Aż oto błysnęły światełka. Wieś, mówię. I prawda. Na samym początku wsi

stał dwór szlachecki. Pułkownik i wszyscy oficerowie ilu nas było runęliśmy tam jak w dym. Przyjęto nas niezmiernie gościnnie. Serdeczny gospodarz zastawił stoły, znalazło się kilka butelek dobrego węgrzyna, a że brać była zgłodniała jak wilki, nie folgowaliśmy bynajmniej, co państwu zaręczam honorem. Tak tedy podjadłszy sobie uczciwie myślimy, żeby się gdzie przespać jako tako, ile że Bóg wie wiele godzin przedtem wszyscyśmy bez snu w ciągłych utarczkach z kozakami przetrwali. Już myślę — rymnę się gdzie w salonie na dywanie, a tu jak gruchnie po szybach. Zadźwięczało szkło, a porucznik Maciejowski zadarłszy ręce do góry wali się na ziemię kulą w same czoło ugodzon. Wnet druga salwa. Pułkownik dostaje postrzał w ramię. Porwaliśmy się do szabel. Wybiegamy. Huknęło jeszcze kilka strzałów, ale już ostatnie. Kozacy nie mieli czasu nabić broni, musieli więc przyjąć bój na pałasze, a że w tej sztuce nigdy nam pola dotrzymać nie zdołają, poczęli się potrochu cofać, a wraz zaś ułani nasi, zwabieni strzałami zajeżdżają im od tyłu. Ha, wzięli wnyki, że ruski miesiąc popamiętają, ale nam trzech dzielnych towarzyszów ubyło. Tak to, pani łaskawa, kapiemy ustawicznie, a stąd widać najoczywiściej, że od tego tałałajstwa nigdy bezpiecznym w tych stronach być nie można. Wyrasta to jakby z pod ziemi i ani wiesz, kiedy i jak znienacka cię skubnie.

Jechali pod górę szerokim gościńcem, pokrytym świeżym, nietkniętym jeszcze płozami śniegiem, który spadł w czasie nocnej zamieci. Nieskazitelnie gładką jego powierzchnię pokaleczyły tylko gdzieniegdzie, przebiegając wpoprzek drogi, tropy zajęcze. Pagórek z tej strony tonął w błękitnych cieniach, bo właśnie z poza niego na niebo pogodne wypływało jasne, promienne słońce. Nagle w blaskach tego słońca jaskrawego na samym szczycie pagórka zaczerniała sylwetka jeźdźca. Odrzynała się ostro i wyraziście od rozbielonego lazuru nieba ciemną, prawie jednolitą plamą, tylko na grocie sterczącej w górę piki zagrały ogniami promienie świateł, że siał ostremi strzałami blasków niby świetna gwiazda na firmamencie. Jeździec stanął i rozglądał się dokoła. Wtem snadź ujrzał ciągnących drogą ułanów, bo zdarł gwałtownie konia i zniknął za pagórkiem.

Ale go już widziano.

— Bij łajdaka!—krzyknął adjutant.

Skoczyli. Otoczyła ich kurzawa rozbijanego kopytami sypkiego śniegu. Chwilami konie zapadały prawie po brzuchy w nawianych na drodze zaspach, ale parte ostrogami jeźdźców zrywały się żwawo, że wnet znikli wszyscy za pagórkiem. Wraz rozległ się huk kilku oddalonych strzałów. To ułani palili z pistoletów za uciekającym.

Panna Krystyna kazała Marcinowi zaciąć konie. Z trudem, kopiąc się w śniegu, dotarli do szczytu pagórka. Roztaczał się stąd widok na białą, zasłaną śniegiem dolinę. Na prawo od drogi ciągnęła się duża wieś. To ich Kraski. Na samym skraju wsi stał dwór, otoczony zabudowaniami gospodarskiemi. Dziwiło ją, że z tej właśnie strony dojeżdża do domu.

Widziała dwór, jak na dłoni. Nizkie jego ściany, choć przecie wapnem bielone, zdały się jakieś dziwnie ciemne przy ośnieżonym dachu i oślepiającej bieli wyiskrzonego w słońcu gościńca. W jednem z okien przed gankiem załamały się promienie słoneczne i jak przedtem na ostrzu piki kozackiej, płonie też ono całe niby w żywym ogniu.

Z bramy wjazdowej na drogę wysypywać się zaczęli jeźdźcy i szykują się we front na przyjęcie, biegnących z góry, ułanów. Są nierównie liczniejsi. Panna Krystyna ogarnęła okiem sytuację. Ułani stanąć muszą jeden przeciwko trzem. Ale oni nie cofają się. Zniżyli lance do uszu końskich, pochylili się w siodłach i prą naprzód czwórkami.

Od strony sformowanych w linję kozaków gruchnęła salwa.

Posuwająca się galopem kolumna ułańska, rzekłbyś, uroniła nagle coś ze swej istności. Coś z niej odpadło i na bieli gościńca zaszarzała jakaś ruchliwa, niezdecydowana plama. Coś ciemnego padło w śnieg i miesza się z jego białością w sposób nieokreślony. Od kolumny oderwał się także koń jeden i cwałował za nią bez jeźdźca. Ale czoło jej sięga już linji nieprzyjacielskiej.

Tamci nie wytrzymali natarcia. Pierzchli. Rozsypali się niby stado kuropatw na wszystkie strony. Ułani impetem przerżnęli środek ich szyku. W tej chwili jednak zaraz zwracać zaczęli konie. Rozwinął się szereg pojedynkowych gonitw i harców. Na szerokiej przestrzeni przed dworem w różnych punk-

tach zderzali się ze sobą jeźdźcy grupami. Zawrzało między nimi na chwilę, zakotłowało się straszliwie, to znowu ktoś uciekał, a ktoś inny gonił.

Miga w słońcu polerowana stal szabel i grotów. Śnieg plamił się coraz bardziej od spadających weń ludzi i rzeczy.

Wybiegają konie bez jeźdźców i rwą samopas w czyste pole śniegowe.

Kilku ułanów pędzi przed sobą garść uciekających. Walą pod górę, wprost na sanie, w których panna Krystyna wiezie rannego brata.

Stanęła w saniach, odwiodła kurek krucicy i czekała zdecydowana. Porucznik Grabowski wyrwał szpadę z pochwy.

Na czoło uciekających wysforował się jeździec jeden. Pomimo ciężkiej, kopnej drogi niósł się jak wicher. Wyprzedził już innych o kilkadziesiąt kroków. Był to oficer. Ujrzawszy w saniach kobietę, powstrzymał konia i wzniósł się lekko w strzemionach.

— Ach, dama.

Panna Krystyna w tej chwili palnęła z krucicy.

— A, ot jak. Wrzasnął z wściekłością i wznosząc szablę, jednym skokiem znalazł się przy saniach.

Świsnęła w powietrzu stal nad głową. Cięcie jednak zdążył chwycić na gardę swej szpady, stojący obok sani porucznik Grabowski, który też przesunąwszy szpadą wzdłuż spadającej na nią klingi, uniemożliwił jej użycia, a jednocześnie sam potężnym sztychem pchnął napastnika w gardło. Ten wypuścił z rąk szablę, rozkrzyżował ramiona i zwalił się na zad konia, który nietrzymany w cuglach, uniósł go w pole.

W tej chwili dwie ciężkie szaszki spadły na głowę porucznika.

W oczach mu pociemniało.

Nadbiegli ułani.

— Bij, trzymaj!

Porucznik leżał na wznak, brocząc krwią.

Zaniechano pościgu. Ułani zeskoczyli z koni. Przypadła do rannego panna Krystyna. Rozerwała mu nerwowym ruchem płaszcz. Na mundurze na piersiach błyszczał złoty krzyżyk zasługi...

(d. c. n.)

U BRZEGÓW LETY.

Nektar boski zaczerpnę w krysztale,
Cud zapomnień z tajemnicy biegu,
Kędy huczą ciemnej Lety fale —
A łódź płynie od brzegu — do brzegu...

Hen — po dole — rwąca szumi fala — —
Nad mą strzechą ciągnie chmura bytu...
Śpiew nieznany dolatuje zdala —
Z niedościgłej krainy błękitu...

I przedziwne w mej zagrodzie czary
Cudem płoną w pragnień mych godzinę...
Złotem gwiaździc rozgorzały jary —
Miesiąc srebrzy u brzegu olszynę.

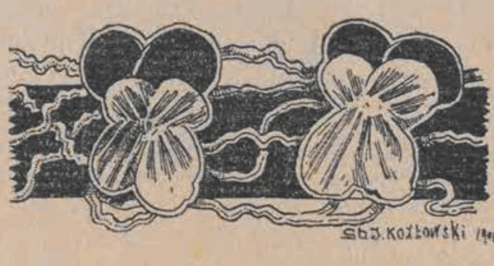
Nad przepaścią stoi zrąb mej chaty,
Orle gniazdo — zawieszone w górze...
Łuk tęczowy pozapalał kwiaty —
Krwawą łuną zajaśniały róże.

Śpiew cudowny — struny — od przestworzy
Poprzerzucał szlakami Eola — —
Snując przędzę Tajemnicy bożej
Na ugory — na łąki — i pola.

Hej, srebrzysta jutrznia niebo bieli,
Zorza wstaje w purpurze promieni!
W kielich serca lecą perły treli,
W kielich serca — co koncha przestrzeni!

Cud świetlany leje boską ciszę —
Słońce sypie snop złotych opali — —
Rwącej rzeki pohuku nie słyszę...
Hen — ożywcza pieśń dzwoni w oddali!..

Walenty Zieliński.



POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

POEZJA I RZECZYWISTOŚĆ W KRÓLESTWIE ROŚLIN.

Kiedyśmy byli dziećmi — opowiadano nam przedziwne bajki. Zwierzęta rozmawiały z ludźmi, kwiaty szeptały sobie słodkie tajemnice, skarżyły się między sobą na zły los, lub głośno wyrażały swój zachwyt i radość. Widziały i słyszały wszystko, co ludzie czynili, i kiedy brutalna dłoń zrywała kwiat z łodygi—całą swoją istotą odczuwały ból, aż po korzonki. Tak opowiadano nam w dzieciństwie.

Ale kiedy staliśmy się dorośli i wstąpiliśmy na drogę życia, kiedy raj dzieciństwa zczezł w mglistej oddali czasu — wówczas dowiedzieliśmy się, że ten ukochany światek dzieciństwa, zaludniony był istotami z bajki. I ta wiadomość nie ucieszyła nas zgoła.

Wokół nas uczyniło się smutno i pusto bez mówiących zwierząt, bez czujących roślin. Mogliśmy się skarżyć na tę pustkę słowami Goethego: „Cały świat okazałby się mrocznym i umarłym, i my z wielkim trudem, zaledwie zdołalibyśmy znieść ciężar własnego istnienia, a w chwili rozpaczy ucieklibyśmy odeń, jak od upiora". Ale przybyła nam z pomocą nauka i dowiodła, że nasze bajki bynajmniej nie kłamały, że zwierzęta mówią, a rośliny czują, że wszystkie te cudowne historje, których słuchaliśmy niegdyś z naiwną łatwowiernością, nie są pięknym wymysłem, jeno prawdą rzeczywistą. Tylko że nie trzeba rozumieć bajki w dosłownem znaczeniu, a cuda, o których dziecko słuchało niegdyś z płonącemi ciekawością, szeroko rozwartemi oczami, należy wyjasnić za pomocą nauki. Oto cała różnica między przeszłością a teraźniejszością.

W bajkach zwierzęta rozmawiają z ludźmi. A w rzeczywistości? Czy nie słyszeliście nigdy jak myśliwy rozmawia z własnym psem? Jest to także—w pewnym stopniu—język, za pomocą którego można się rozmaicie porozumiewać. Alboż to ludzie nie używają języka mimicznego... Ale język, w którym myśliwy zwraca się do psa nie jest wyłącznie językiem gestów. Zawiera rozmaite wyrazy, przy pomocy których, pan daje rozkazy,—i różne dźwięki—przez które pies wyraża swe „spostrzeżenia".

Mniej więcej to samo dzieje się z roślinami. I o nich można powiedzieć, iż posiadają zmysły. Ponieważ sposób ich życia, nieskończenie różni się od naszego, więc też zupełnie inaczej zbudowane są narządy ich zmysłów i w inny sposób przejawiają się ich czynności.

Ludzie i zwierzęta czynią użytek z narządów zmysłowych przedewszystkiem w celu zdobycia sobie środków do życia. Roślinie nie są one potrzebne dla tego celu. Wystarczy jej kwas węglany i woda. Kwas węglany znajduje się w powietrzu, a woda nasiąka glebę, w dostatecznej ilości, aby ją mogły z łatwością odnaleźć korzenie rośliny. W tym celu końce korzeni zaopatrzone są w specjalne narządy, za pomocą których mogą one wyczuwać obecność wody nawet na większe odległości. Tą zdolność „węszenia" wody u roślin możemy porównać do zmysłu powonienia, z zastrzeżeniem, że zmysł ten znacznie silniej rozwinięty jest u roślin, niż u ludzi. Zmysł, który nieomylnie prowadzi korzenie w kierunku wody, nauka zwie *hydrotropizmem*, t. j. zdolnością określenia blizkości wody.

Dzięki tej zdolności, korzenie mogą zagłębiać swe długie odrostki, czyli t. zw. nici korzeniowe wprost do miejsca, gdzie się znajduje woda.

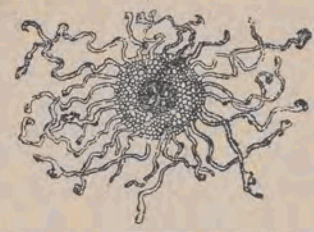
Ale roślina (rys. 1) potrafi także odczuwać obecność metalów, które pozornie są bezwonne. W r. 1903 prof. Elwing z Finladji, zauważył że niektóre rośliny przejawiają szczególną skłonność do metalów, i że ich rosnące części zawsze zwracają się tam, gdzie znajdują się metale. W ostatnich czasach uczeni chętnie tłumaczą tę zdolność *emanacjami* t. j. wydzielaniem gazów przez radjoaktywne ciała. Jednak, doświadczenia czynione w tym kierunku, nie dały dotychczas żadnych istotnych rezultatów, z których dałoby się cośkolwiek wywnioskować.

Roślina, wyczuwając obecność nawet takich ciał, których człowiek nie zdolen jest rozróżniać węchem ani smakiem — potrafi także odczuwać te ciała, które i my, przy pomocy naszych zmysłów odczuwamy. Bakterje—owe liliputy królestwa roślinnego—objawiają wielką miłość ku solom niektórych metalów. Jeżeli umieścimy w kropli wody nieskończenie małą ilość takiej soli—jakąś miljonową cząstkę miligrama—to żyjące w wodzie bakterje wnet rzucą się na ten przysmak. Można to z łatwością zaobserwować pod dobrym mikroskopem. Nasienne nitki mchu „lubią" kwas jabłkowy, odnajdują go w kropli wody, która im się wydaje bezbrzeżnym oceanem. Ale te mikroskopijne istoty mają także swoje „antypatje". Są to zdecydowani abstynenci. Najmniejsza ilość spirytusu wystarczy, aby rozproszyły się wkrąg.

Tę zdolność znajdowania pokarmu posiadają

także większe rośliny, a ponieważ nie mogą przenosić się z miejsca na miejsce, jak bakterje, więc te zmuszone są wysyłać korzenie w tę stronę, gdzie się substancje odżywcze nagromadziły. Niektóre rośliny pasożytne poznają po zapachu swą ofiarę i umieją ją znajdować. Istnieje pewne zielsko, które się odżywia sokami konopi; wysyła one swe pędy podziemne, tam gdzie może znaleźć korzenie konopi.

Rośliny zdolne są i do takich ruchów, które u zwierząt tłumaczymy zmysłem dotyku. Popatrzmy uważnie na pnącze winogronowe; przekonamy się, że rośnie ono, jakgdyby *poomacku*, aż do chwili kiedy znajdzie jakiś punkt oparcia. Wówczas okręca się około punktu zaczepienia i rośnie dalej.



Rys. 1. Poprzeczny przekrój korzenia wraz z odrostkami, do których przylgnęły grudki ziemi.

Wielką czułością na dotyk odznaczają się gruczołki małej roślinki, zwanej *rosiczką* (rys. 2).

Drobne listki, w kształcie spodeczków, opatrzone są czerwonemi rzęsami, na których wiszą kropelki śluzu. Jeżeli jakiś owad dotknie się tych kropelek, wówczas listek zwija się i oto owad jest już uwięziony. Czerwone gruczołki wydzielają obfitą ilość soków trawiennych, który powoduje rozkład pochwyconego owada oraz w następstwie zupełne jego spożycie przez roślinę, która nie gardzi nawet częściami szkieletu.

Najbardziej pospolitym przykładem czułości roślin jest mimoza zwijająca swe listki, za najlżejszem dotknięciem.

Rośliny odczuwają także ciepło i chłód, i te zmysły ich są subtelniejsze jeszcze niż u ludzi. Pąki fijołków i marchwi zwijają się i pochylają co wieczór, przed nadejściem chłodnej nocy. Drzewa, jeszcze podczas jesieni, przezornie ściągają z liści wszystkie pożywne substancje, a dopiero potem rozpoczyna się opad suchych liści. Rośliny wyczuwają najsubtelniejsze wahania temperatury, nawet takie, których nie zdołają zanotować fizyczne aparaty.

Najciekawszym narządem zmysłowym u roślin jest „oko". Coprawda organ ten mało ma wspólnego z oczami ludzkiemi, chociażby dlatego, że jego przeznaczenie jest wręcz przeciwne.

Zadanie naszego oka polega na skupieniu w ognisku soczewki promieni słonecznych, aby potem rzucić na siatkówkę obraz świata zewnętrznego. Poczem dany obraz,za pomocą nerwu wzrokowego odsyłany jest do mózgu. „Oko" rośliny również posiada soczewkę, w której ognisku skupiają się promienie światła, ale brak mu siatkówki. Życie rośliny w zupełności zależy od światła. Ziarnka chlorofilu, znajdujące się w zielonych komórkach liści, za pomocą słonecznego światła przetwarzają kwas węglany z powietrza i pierwiastki wody na bardzo ważne w świecie organicznym związki, — na cukier i krochmal, tłuszcze i ciała białkowe. Wszystkie te ciała powstają w liściach pod działaniem słonecznego światła. Ale roślinie niepotrzebne jest światło we wszystkich swych postaciach. Sztuczny blask ani srebrzyste światło księżyca nie wywiera na nią żadnego wpływu. Do życia potrzebne jej jest wyłącznie światło słoneczne. I dlatego jej oczy przeznaczone są poto, aby chwytać promienie słoneczne i dostarczać ich ziarnkom chlorofilu. Takich oczu posiada roślina kilkaset tysięcy, ponieważ każda wypukła komórka na zewnętrznej powierzchni stanowi jedno „oko".

Głód światła — oto powód najprzedziwniejszych zjawisk, jakie spostrzegamy w roślinie. Wszystkie pokojowe rośliny zwracają swoje kwiaty do okna. Wszystkie liście wystawiają stronę zewnętrzną na działanie słońca.

Wysiłki, które rośliny czynią dla zaspokojenia swego głodu słonecznego, są wprost niesłychane. Wiele roślin odwraca swe kwiaty, w miarę tego, jak słońce posuwa się z wschodu na zachód w ten sposób, że promienie słoneczno przez cały czas oświetlają je całkowicie. Kiedy słońce zachodzi -- rośliny również układają się do snu. Liście zwisają nadół, kielichy kwiatów zamykają się, aby nazajutrz o świcie rozchylić swe płatki. Sen roślin, tak często opiewany przez poetów, stanowi najlepszy przykład wrażliwości roślin na światło. Ten głód światła odczuwają różne rośliny w stopniu różnym. Mchy i paprocie wolą cienisty półmrok lasów, i zadawalniają się skąpymi promieniami, które do nich przenikają, poprzez gęstą sieć liści. Inne rośliny wprost są nienasycone, pod względem ilości światła.



Rys. 2. Rosiczka chwytająca jętkę.

Widzimy tedy, że w wielu wypadkach rośliny postępują tak, jakgdyby posiadały prawdziwe zmysły. Korzenie dążą do wody, bakterje, „lubią", sole metalowe i t. d. Nasienne nitki paproci — kwas jabłkowy. Liście wyczuwają ciepło i chłód, a tysiącami oczu szukają światła. Alboż te zjawiska nie są przedziwne, bardziej fantastyczne niekiedy niż przygody bajecznych bohaterów.

S. D.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.